№ 42. Warszawa, 16 Października 1908 roku. Rok I.

SPOŁECZEŃSTWO

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

Prenumerata: w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie kop. 65. Numer pojedyńcz. — kop. 15. Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, Kwartalnie rb. 2 kop. 25. Numer pojedyńczy kop. 15. Za zmianę adresu — 22 kop.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek.

Red. i Administr. Żórawia 29 m. 2; Tel. 116 67.

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście k. 30 za wiersz petitu kop. 15. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7—prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki o g. 2 — 3 p. p. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU.

PRZEWRÓT NA WSCHODZIE.

Bałkański półwysep znów stał się ośrodkiem działalności gorączkowej dyplomatów, znów ściągnął na siebie uwagę świata cywilizowanego. Kiedy kilka miesięcy temu wybuchła w Turcji owa nieznana w dziejach Europy rewolucja pokojowa, przewidywaliśmy trudności, jakie napotkają na swojej drodze młodotureccy reformatorzy. Było do przewidzenia, że stan normalnego rozwoju w Turcji nie będzie na rękę mocarstwom, które potrafiły wyzyskać zamęt i bezład dla swoich celów politycznych; było do przewidzenia, że największe przeszkody znajdą konstytucjonaliści tureccy ze strony konstytucyjnych państw Zachodu; i pomimo zapewnień Europy, że zachowywać będzie stanowisko wyczekujące, można było spodziewać się z dnia na dzień jakiegoś wypadku, który istnienie odrodzonej Turcji podkopie. Ogłoszenie niepodległości Bulgarji było początkiem, po którym nastąpiło przyłączenie Bośni i Hercegowiny do Austrji.

Trudno mieć coś przeciwko usamodzielnieniu się Bulgarji, wszakże sposób, w jaki to uczyniła, chwila, którą wybrała na ogłoszenie swej niepodległości pozostawiają wiele do życzenia. Bulgarja i przedtem była niezależną faktycznie, a ogłoszenie jej niepodległości jest tylko aktem formalnym, który może zresztą pociągnąć za sobą groźne skutki dla samej Bulgarji; Albowiem jeśli w chwili obecnej cieszy się ona poparciem Austrji, która popchnęła ją do tego kroku dla swoich celów, to wiemy przecież, jak prędko państwa wrogie zamieniają się na państwa zaprzyjaźnione i odwrotnie, i niema pewności czy jutro Austrja, pojednawszy się z Turcją, nie opuści swej dzisiejszej słabej sojuszniczki dla jutrzejszego sojusznika silnego. Bulgarja przez dziesiątki lat utrzymywała bandy zbrojne, które w Macedonji szerzyły krwawy zamęt nieustannych zbrojnych walk; podsycała ona Serbów przeciw turkom, turków przeciw własnym współrodakom — byleby w Macedonji wrzało, byleby Turcję osłabić dla siebie, byleby zachować możność wtargnięcia do Macedonji dla innych. W tej zbrodniczej robocie Bulgarja niewątpliwie znalazła poparcie ze strony Austrji, która spodziewała się w przyszłości utrwalić placówkę w Macedonji. Aliści rewolucja turecka pokrzyżowała te plany na przyszłość, zabrano się tedy do podkopywania jej.

Bośnia i Hercegowina faktycznie przyłączone są do Austrji od kongresu Berlińskiego i obecne oficjalne przyłączenie ich stanowi w gruncie rzeczy także tylko formalność. Wszakże może ono być w skutkach groźne dla młodej Turcji. Na pierwszy rzut oka ma się wrażenie, że Bulgarja i Austrja ośmieliły się wobec Turcji konstytucyjnej na krok, który stanowczo zawahałyby się popełnić wobec Turcji despotycznej. Argument ten może być potężnym orężem w rękach reakcji tureckiej, która potrafi, wskazując na te fakty, podniecić uczucie nacjo-

nalistyczne tłumów i skierować je przeciwko pozornym winowajcom tej niby katastrofy narodowej. Tylko na tem polega krzywda wyrządzona Turcji: w chwili, kiedy zajęta ona jest gorączkową pracą nad uporządkowaniem swego domu wewnątrz, wszelkie komplikacje zewnątrz osłabiają jej siły. Ale czy Austrja znalazła by w innym czasie poparcie dla swej sprawy u Niemiec? Niemcy spotkała ze strony młodej Turcji zupełnie zrozumiała niechęć, gdyż żadne państwo nie wyzyskiwało z taką brutalną bezwzględnością niewoli i przymusowego milczenia narodu tureckiego; to też Niemcy grają pierwsze skrzypce w tej robocie reakcyjnej i nie mogąc nic zdobyć dla siebie, wysuwają Austrję i popierają ją.

Młoda Turcja zachowuje spokój i godność, apelując do godności mocarstw, które podpisały, pogwałcony obecnie przez Bulgarję i Austrję, traktat Berliński. Wątpić należy, czy sprawa godności zaważyć może na losach Turcji, wszakże wchodzą tu w grę interesa, i Anglja, która już zaprotestowała przeciwko tym aktom, niechybnie postara się odparować cios zadany jej dyplomacji. Turcja dopomina się rekompensaty w postaci zniesienia uchybiającego jej powadze sądownictwa cudzoziemskiego na jej ziemi (cudzoziemcy w Turcji, podobnie jak i w Persji i w Chinach nie podlegają sądownictwu tureckiemu, lecz są sądzeni w własnych sądach), następnie, zniesienie poczt cudzoziemskich i wprowadzenie jej do międzynarodowego związku pocztowego (w Turcji istnieje poczta rosyjska, francuska i t. d.), wreszcie domaga się młoda Turcja prawa zawierania traktatów cłowych. To ostatnie prawo, mogące wyrządzić największą szkodę Niemcom, zostanie jej, obok powyższych, niewątpliwie nadane za poparciem Anglji i na tem prawdopodobnie chwilowo zakończy się ta głośna obecnie sprawa.

Pomijamy tu całkowicie komplikacje, zachodzące na samym półwyspie: Serbja zostaje poważnie poszwankowana, podobnież Grecja i Rumunja — ale któż liczy się z tak drobnemi siłami!

M. A.

NA WIDNOKRĘGU POLITYCZNYM.

S p r a w a c z e s k o - n i e m i e c k a znów się wyłoniła wskutek obstrukcji, czynionej przez Niemców w sejmie praskim. Walka narodowościowa jest chroniczną chorobą państwa austrjackiego, tego zlepka rozmaitych narodów zazdrosnych o swoje prawa. Żaden naród nie jest tam panem u siebie, a każdy chce panować u innych, o to toczą się nieustanne walki, bardzo często krwawe, zawsze brutalne, nacechowane barbarzyńską zasadą: „usuń się, bym zajął twoje miejsce“. Czesi najmniej mogą się uskarżać w Austrji: krok za krokiem zdobywają oni dla siebie prawa narodowościowe, posuwając się ustawicznie na drodze zupełnej autonomji. Ale sprawa narodowa to zbyt cenne narzędzie demagogji politycznej, aby je zarzucić, gdy straciło swoją rację bytu. Więc podsyca się szowinizm, jątrzy instynkta mas i głosi niebezpieczeństwo ojczyzny, choć ojczyźnie nic nie grozi. Niemcy ze swej strony nie pozostają w tyle i szczują przeciwko czechom, których uważają za przybyszów (sic!). W ostatnim czasie zdarzyło się wiele wypadków, zakończonych krwawemi zajściami, a spowodowanych wygórowaną drażliwością i zaczepnym nacjonalizmem obu stron, z których każda właśnie w miejscowościach, w których znajduje się w mniejszości, prowokacyjnie narzuca swoje panowanie.

Kwestją dnia jest sprawa języka urzędowego. Niewątpliwie, jest to sprawa ważna, aby mniejszość narodowościowa mogła w urzędach i sądownictwie używać swego języka; ale mieszczaństwu chodzi tu o co innego, — chodzi mu o posady dla swoich synów i na tem tle rozgrywają się najzaciętsze walki. Obecnie sprawa ta znalazła się w sejmie. Jest to pierwsza sesja nowowybranego sejmu, na który pokładano wielkie nadzieje. Zwłaszcza spodziewano się, że sejm obecny spłaci dług swój wobec klas pracujących, które pozbawione są praw politycznych w Czechach. Rząd austrjacki ze swej strony spodziewał się, że nowe prawo wyborcze, wprowadziwszy do sejmu czynniki proletarjackie i szczerze de-

„LUDZIOM TRAGICZNYM“

PROLOG.

Te są słowa poganina, wichrzyciela i »kochanka nocnego“:

„Czy jesteście czasami wesołemi nicponiami, kpiącemi z wyrabiaczów mydła, musztardy, octu, gilz, Boga lub Absolutu?

— Czy urągacie tragicznym posągom Powagi?

— Czy kochacie śmiech rozpasany lubieżnej samicy?

— Czy miewacie chwile natarczywych tęsknot?

— Czy posiadacie wyobrażenie o utajonem pięknie Nagości?

— Szczerą i wielką jest każda nagość — w niej kocha się ma dusza i nie ukrywa swej miłości.

— Pożądaną jest wszelka nagość — upragnioną snem mej żądzy pogańskiej.

— Wrzeniem szatańskiem i przyciągającą siłą, — otchłanią lęku i marzeniem wieczornem jest mi każde nagie ciał ziemskich odkrycie — każda nagość.

— Z niej się narodził mój spokój taneczny — moja świadoma wola ruchu i działania.

— Z miłości ku niej poczęła się we mnie płomienna żądza jej posiadania — wszędzie i zawsze.

— Na płaszczyźnie rzeczy w życiu przezemnie już zapoznanych ona jedna posiada wiecznie te same magnesy, ruch mój twórczy warunkujące, podobnie jak słońce, powietrze, ziemia lub wegetacja pleśniejących hymenów.

— Czyż duch tej demonicznej tancerki o niepokalanie pięknem łonie nie zaprzepaścił mię doszczętnie do tego stopnia, że stałem się jej małżonkiem, niewolnikiem białego jej ciała?

— Azaliż mogłem, stawszy się nagością Nagości, nie psuć wam s y m e t r j i u l i c z n e j — o śmieszni tchórze rozkoszy „na jawie“?

— Czyż nie wydałem się waszej gromadzkiej wstydliwości dziennej bezwstydem czy też pornografją?

— Czyż nie odwracały się odemnie ze wstrętem wasze oczy?

— Lecz powiedźcież mi czy wy istotnie tak bardzo, tak bezczelnie bardzo, nawet w nocy lubujecie się w łachmanach?

— Nie posądzam was przecie, o ludzie tragiczni, byście mieli na ciele waszem tylko ropy cuchnące, które krzyczą opatrunku — potworności i kalectwa, które przykryć należy, gdyż o to błagają oczy społeczne — n e posądzam was.

— Bolesną i niemiłą dla oka jest każda współczesna nagość — powiadacie — a dokoła was słyszę krzyki nieuleczalnych kaznodziejów moralności: »Odzieży! odzieży...«.

— Lecz oczy wasze iskrzą się... twarz płonie i serce wali młotem.

mokratyczne, położy kres zabójczym walkom nacjonalistycznym, i dlatego, pośredniczył w przeprowadzaniu reformy wyborczej, wprawdzie bynajmniej nie doskonałej, ale zawsze stanowiącej poważny krok w kierunku zupełnej demokratyzacji Czech. Ale sejm czeski, będący ostoją wszelkiego bezprawia, ani na chwilę nie może znaleźć wyjścia ze stanu obecnego — obstrukcja stanowi niejako istotę jego i najlżejsza pobudka wystarczy, aby z jednej lub drugiej strony wywołać burzę. Tym razem przyczyną stało się to, że zarząd krajowy (wybrany przez sejm) powołał do kancelarji sejmu, złożonej z 5 urzędników, tylko czechów, natomiast odrzucił żądanie niemców, domagających się jednego aktuarjusza niemieckiego. Niemcom, którym podoba się uważać za gwałt ich narodowości zadany to że czesi mają większość w sejmie, wystarczyło to, aby rozpocząć obstrukcję, która miejscami przechodzi w jarmarczną bójkę. Paraliżowanie działalności sejmu odbija się szkodliwie na całej polityce wewnętrznej państwa, nadto przyrzekają Czesi odwet w Izbie państwa, co zagroziłoby istnieniu obecnego ministerjum koalicyjnego; z tego powodu spodziewać się należy, że rząd postara się tym razem powstrzymać rozkiełznany poryw szowinizmu, ale czy długo uda się go utrzymać w granicach wskazanych przez rozum? Dopiero sejm wybrany na podstawie powszechnego prawa wyborczego, zdoła położyć kres tej obłudnej a szkodliwej polityce.

Almar

O ŚWIĘTOCHOWSKIM MYŚLI KILKA.

Referat niewygłoszony na jubileuszowym obchodzie.

Co skłoniło pisarza jeszcze młodego, ale już piastującego w myśli szerokie pomysły z dziedziny nauk filozoficznych, co skłoniło tego greka, przypadkowo urodzonego w epoce naszej, co skłoniło tego artystę, rozkochanego w uroczo-chłodnem pięknie marmurów Pentelikonu, by poszedł z szacunkiem tkliwej dobroci za krokami ubogiej żydowskiej przekupki, aby nachylił się z opiekuńczem zaciekawieniem nad jej mizernym koszykiem ryb, aby fatygował się obliczać z nią razem zyski i straty z trzyrublowego kapitału?

Dziwny ten wypadek w produkcji artystycznej Świętochowskiego, stanowi—chlubne świadectwo dla jego serca. Pozostanie ono w mocy, choćbyśmy odkryli wszystkie drogi ideowe, któremi nowelista. Świętochowski zabłądził na ciernistą i ciemną ścieżkę Chawy Rubin, skropioną u kresu jej krwią. Warto zatrzymać uwagę na tych drogach, aby zrozumieć odwagę artysty i myśliciela Świętochowskiego.

Tak jest—odwagę! Musimy skonstatować ze smutkiem, że do napisania „Chawy Rubin", młody pisarz potrzebował wówczas odwagi. Napozór to śmieszne—jednak to tylko smutna prawda.

Pochylając się miłośnie nad trupem Chawy, w chwili, gdy zbójecki nóż uderzył ją za to, że jęła się roznosicielstwa listów, że zastąpiła sumienną pilnością swoją na potrzebnym społecznie posterunku—malutkim i mizernie opłacanym, — opoja i złodzieja Franka, powiada autor słowa, które jakby przepalają papier, które mało równych sobie mają w całej literaturze wszechświatowej pod względem sarkazmu:

— *Biedna Chawo, ja ci to, żeś w moim kraju pracować i jego chlebem dzieci swoje żywić chciała—przebaczam!*

W zwrocie tym—w tem „przebaczeniu" żydówce, że pracować chciała tak, jak inni, jest wielki tryumf myśli humanisty, tryumf nad szowinistyczną, drapieżno-wązką nienawiścią konkurencji rasowej, strojącej się w szaty patrjotyzmu („chleb dla swoich").

Czy wiecie, co powiedział autor kulturalny, historyk polski, malarz „Bitwy pod Raszynem", co powiedział on z powodu „Chawy Rubin", co pomyślał nad zakrwawionym trupem żydówki, zamordowanej przez łotra, co napisał z powodu „przebaczenia" Świętochowskiego, udzielonego w takich warunkach? Oto, napisał tylko tyle:

„Społeczeństwo w którem Świętochowski żył, nie wiele go obchodziło. Gotów był dla mrzonek ogólno-ludzkich poświęcić swoje „ja" społeczne ...Dowodzą tego jego nowelle: „Chawa Rubin", „Karl

---

— O kuglarze obłudni! wy sny kochacie — nagie sny marzeń z nasienną zmazą.

— Czyż jestem z innej niż wy płaszczyzny?

— Czyż synem Ziemi i Słońca nie jestem godzien się wabić?

— Czyż dla patrzącego mego oka nie jesteście dalą szerokich perspektyw lub widnokręgów?

— Czyż wam złorzeczę, wy, tła i podłoża miłości mej i wzgardy?

— Wszak nie dajecie mi dowodów waszej nademną wyższości, chodząc na szczudłach, odziani w togi tragizmu.

— Wszak w śnie nocną porą kochacie to, co ja uwielbiam na jawie w skwarny dzień lipcowy — i w tem tkwi wasze małżostwo, wasza bojaźń pełnej, jawnej rozkoszy.

— A zatem wyznajcie szczerze, czy w większości wypadków — praprzyczyną waszych tęsknic, nostalgij i bólów, skarg i udręczeń nie jest brak brzucha kobiecego, gdziebyście się mogli dowoli wypróżnić?

— Czyż wasze deklamacje i kacze kwokania na temat miłości idealnej, o, nadobne krowiątka, nie należą do jednego z »nieświadomych« odłamów polityki uteralnej?...

— Zaiste o obłudni tragicy bardziej tylko odemnie jesteście słoniami — posiadacie tylko więcej odemnie uczucia wstydu.

Ach wy wstydliwi o brzasku dnia czyż nimi jesteście w ciemniach nocy — przy świetle lampki nocnej?

Cóż wtedy o was mówią wasze żony i kochanki — ściany waszych sypialni — bielizna nocna i sprzęty na pożytek ludziom do zbawienia wiecznego przeznaczone?...

Wtedy to pierzchają zapewne z dusz waszych bezmyślną paplaniną wywołane cienie, lecz wyznajcie, tragiczni, czy wy nawet w nocy spółkujecie z sobą w łachmanach nieciekawi dotykać ciał wspaniałej nagości?

A jeśli tak nie jest, to czemuż to światło słoneczne skupia na krańcach waszych nosów posępne chmury gderliwej jesieni?

Dlaczego urągacie w skwarny dzień lipcowy uczynkom i mowie tego szczerego stworzenia, które jest zarówno w was jak i we mnie.

Czyżbyście zapominali wtedy, że jesteście wytworami gadającymi wielkiej sztukmistrzyni — Ziemi? Że rządzą wami: fikcja, żołądek, prącie, vagina, lub pęcherz moczowy. Że kierują wami — momenta, nastroje lub usposobienia.

Czyżbyście się czuli absolutnemi władcami siebie samych naiwnie utrzymując, że to co robicie jest waszą tezą?

Czyżbyście kłamali przytem jak kobiety?

Nie przypuszczam byście byli tak n i e u c z c i w i nawet względem samych siebie.

Czyżby j ę z y k, który w was tkwi również j a k o n a r z ę d z i e g a d u l s t w a czynił was takiemi?

Krug" i „Damian Capenko", *którym pozwalał żyć w domu swoim*.,. Ten pogląd na rzeczy zbrzydził mi człowieka utalentowanego... Gotów był wszystko obalić, podeptać, oplwać i splugawić" *).

O przedziwna ironjo końcowego zdania Świętochowskiego! Są więc ludzie kulturalni, którzy nie przebaczą potomkom „przybyszów" po sześciuset latach, jeżeli odważą się zrobić konkurencję „w ich domu" nawet nieuczciwości—i nawet padną pod nożem! A „przebaczenie" takie uznają za oplwanie i splugawienie narodowych ideałów!

Trzeba więc było zaiste niepospolitej śmiałości myśli i... serca, by „*przebaczyć*" biednej Chawie to, że tu, w tym kraju pracować i jego chlebem dzieci swoje żywić chciała!".

...Wokoło każdego wielkiego człowieka tworzy się legenda. Więc i około Świętochowskiego utworzyła się legenda, że on wszystko „opluł, zdeptał, splugawił".

Powtarzały ją w pomroce naszego życia szelestem skrzydeł potwornych swojskie nietoperze...

Wszystko „splugawił" człowiek, który... pierwszy nawoływał nas do ofiar na głodnych Szlązaków i sam ofiarował się chodzić ze skarbonką!

Wszystko „opluł" człowiek, który... przez czterdzieści lat rozpalone żelazo przykładał do czoła wszelkiej nikczemności.

Bo on nadewszystko nienawidził nikczemności i jej wydał bój w „Aspazyi" i „Duchach" nieśmiertelnych.

Wszystko „zdeptał", bo on był... osobistym nieprzyjacielem obłudy. Rzucał jej w twarz żelazną rękawicę. A wtedy maska pękała na tej twarzy i wyglądała szpetna twarz ohydy.

Obłuda nie mogła mu tego wybaczyć... A dlatego tworzyła o nim legendę, że on wszystko opluł, zdeptał, splugawił...

Niema tu może nikogo, kto pragnąłby goręcej odemnie, aby to święto jubileuszowe było świętem zgody...

*) „Stara i młoda prasa" str. 136.

Ale również nie wielu czuje lepiej odemnie, że to jest niemożebne. Dla nas święto autora „Duchów" jest tylko etapem wieczystej walki społecznej...

Bo ta walka jest koniecznością — jest warunkiem ciągłego postępu ludzkości...

Duchy w rodzaju Św. zwyciężają po to, aby nazajutrz nawoływać „naprzód" — do nowych wygranych. Kiedy słabną pod naturalnym ciężarem wieku i wielkiego znużenia pracą, znajdują młodsze ręce uczniów swoich, którzy poniosą ich sztandar dalej. Kiedy giną w walce, z ich ducha rodzą się inni szermierze wieczyście postępującej myśli.

Tacy mistrze swojego czasu, jak Świętochowski, zwyciężają nawet wówczas, gdy są najmocniej prześladowani. Bo oni ciągle idą w górę. A prześladowcy, zapędzając się za nimi, zmuszeni są zawsze iść za nimi—pod górę...

I cóż to szkodzi, że w pogoni za wielkim człowiekiem nie wypuszczają z rąk kamieni i błotnych kulek, skoro zmuszeni zostali wejść wyżej—i wbrew sobie samym ogarnąć szersze perspektywy?

To też trafnie z uśmiechem ironicznym skonstatował Świętochowski, że nasza prasa konserwatywna nie zachowała swojej dawnej niewinności— jest pocentkowana cała w postępowe paseczki...

Jakżeż dalekie są od nas te czasy, kiedy w naszej prasie konserwatywnej Renan uchodził za apokaliptyczną bestję, Wolter był szubrawcem, daremnie wołającym o księdza w godzinie konania dla wyspowiadania się ze swoich gałgaństw, Spencer był nieukiem, a Darwin łobuzem, przypisującym ludziom porządnym własne pochodzenie od małpy.

Jakżeż bezpowrotnie uciekły te złote czasy rajskiej niewinności, kiedy z powodu kradzieży palta robiono dowcipy: „pewnie je ściągnął jakiś pozytywista".

Pozytywista ukradł w istocie naszej prasie konserwatywnej paltocik niewinności, w którym chodziła ona na schadzki z fanatyzmem.

A jeżeli ubiera się ona dzisiaj w płaszczyk obłudy, to i tę szatę poszarpały nieraz strzały dowcipu Świętochowskiego.

Jeżeli w postępowym świecie nie on był tym

Czyżby ohyda życia zmuszała was do samozaprzaństwa i kłamliwych zeznań?

Zapominacie, że kłamiąc i drapując się w szaty tragizmu sami czynicie życie ohydą — jaki posiew, taki plon.

A jakiemiż są wasze posiewy?

Siejecie wszędzie naokoło was kłamstwa — kłosy zbóż waszych uginają się pód ich ciężarem społecznym — jęczycie — rozdzieracie serca urzędowym i nieurzędowym krzykiem rozpaczy — kochacie ból — uwielbiacie cierpienie, lecz czy nie używacie przytem pudru — czy nie malujecie się z bezczelnością właściwą sprzedajnym uprawiaczkom sportu wiecznie przenajświętszej kobiecości?

— Ropy cuchnące — rany gnojne — owrzodzenia zaraźliwe znikajcie z oblicza życia!

— Nieuleczalni tragicy!

— Rozmodleni do Absolutu wizjonerzy!

— Hallucynaci płomienni!

— Fabrykanci narkotyków dla tłumu! Kiedyż wykonacie swój zamiar — wędrówki przestrzeniowo-podniebnej: kiedyż wreszcie wyniesiecie się na zawsze z tej czarnej gleby — pozostawiając ją jej synom, którzy powiadają: »Stworzeni jesteśmy i chcemy być niemi«. »Pełnią księżyca być chcemy, nie rondlem pobielanym — nie wycinanką z książek — nie ścianą wytapetowaną lub ogranym gramofonem«. »Kochamy Życie, ziemię i jej twory... kochamy słońce, gwiazdy i błękit nieba... pragniemy być lwami silnemi — wspaniałemi tygrysami«

EPILOG.

Gdy poganin, wichrzyciel i kochanek nocny napisał te oto luźne o ludziach tragicznych spostrzeżenia — odłożył pióro — zapalił papierosa i potarł prawą ręką swój wielki łych. W tej oto chwili potwórczej zadumy stanęła przed nim płatna jego kochanka, rozebrana i gotowa do modelowania. Poganin, wichrzyciel i kochanek nocny przemówił do niej w te słowa:

»Gdy widzę cię nagą — gdy żądliwe me oczy godzą w miejsca twej wiecznej kobiecości — doznaję uczucia opadu mej atmosfery — zbieram się w chmury — gniewa mię twe leucorrhealne ciało.

O! zakryj proszę twą wyschłą wieczną kobiecość — przywdziej sklep bławatny majtek lub halek i odsłoń mi tylko twe suche nogi w czarnych pończochach i lakierowanych trzewikach.

To jedno w tobie powinno mi być »zwierciadłem życia« i »księgą mądrości o tragiczna ty przyjaciółko mego żywota«.

Tak przemawiał do niej ów miłośnik nagości, poganin, wichrzyciel i pierwszy w świecie kłamca.

który zataczał najcięższe działa na waly- -acz i pod tym względem ma zasługę, jako autor dzieła. „O podstawach praw moralnych“ i tłomacz Historji filozofii Langego — to on był tym, który niósł chorągiew w pierwszym szeregu i tym, który zapalał lonty, i tym, który zagrzewał do boju swoim temperamentem i tym, który oświecał drogę błyskawicami swojego stylu...

A bodaj my wszyscy, którzy kochamy postęp społeczności polskiej—idziemy z jego ducha. I jeżeli niektórym z młodych wydaje się, że widzą dalej niż on... w epoce obecnej—to niech nie zapominają, że mogli byli w istocie zobaczyć dalszy horyzont — ale nie dlatego, że są od niego wyżsi, lecz dlatego, że stanęli na jego ramionach... Lecz czy naprawdę zobaczyli i dalej i więcej--to rozstrzygnie dopiero przyszłość.

Mali ostrowidze, stojący na ramionach wielkiego człowieka, w zaufaniu do swoich oczu nie powinniby zapominać, że budują na fundamentach jego tytanicznej pracy. Bo to była praca tytaniczna... mówi o tem spis bibliograficzny *samych tytułów* jego artystycznych i publicystycznych utworów, zajmujący 80 stronic drobnego druku, na przeczytanie którego nie starczyłoby dwu godzin.

A to nic nie szkodzi, że dzieła Świętochowskiego są mniej rozpowszechnione, niż „Pistolet do zabicia grzechu śmiertelnego“. Mogą poczekać, bo... nie zestarzeją się tak prędko...

A i to jest drobiazg—i o tem wszyscy powinni byli pamiętać w dniu święta jubileuszowego, — czy na artyzmie tych dzieł są jakieś skazy i czy posiada wady człowiek, który je napisał.

Boć należy zrozumieć, że tak wybitnie indywidualny charakter musiał posiadać swoje marmurowe kanty, a kto ich wybaczyć nie potrafi, niechaj wsłucha się w satyryczno-żałosną prośbę umierającego Starca z noweli Świętochowskiego: „Nad Grobem“. Ujrzą tam duszę wielkiego marzyciela, który był jednak człowiekiem, jak inni.

I to wszystko jedno, że bohaterowie dramatów Świętochowskiego, poczynając od niewolnika, a kończąc na genjuszu wszyscy niemal przemawiają językiem Świętochowskiego, bo to w tej chwili znaczy dla nas i z czasem znaczyć będzie, że Świętochowski dał nam w każdej duszy — siebie!

A on sam jest podwójnie ciekawą zagadką, którą długo pokolenia polskich czytelników rozwiązywać będą.

Będą badać, jak w tej duszy dziwnie się połączył arystokratyzm wielkiego samotnika z demokratyzmem budziciela mas. I długo zachwycać się będą tą jedyną w naszej literaturze syntezą psychologiczną — człowiekiem, posiadającym namiętny temperament polemisty i chłodny rozum filozofa. Bo jeżeli Świętochowski zrobił ongi wrażenie na Brandesie, wyrażone w charakterystycznem określeniu „fanatyk o oczach błękitnych“, — to z drugiej strony jest on u nas najszerszą głową, duchem, który unosił się w regiony najwyższych idei, ujmował życie najobjektywniej i z helleńską pogodą potrafił poglądać w oczy wieczystemu pięknu. Mógłbym też rzec o nim, że jest on najnamiętniejszym ze wszystkich ludzi rozumnych i najrozumniejszym śród namiętnych.

Dlatego pozostawię chętnie innym ślęczenie nad tem, ile razy w życiu mógł się omylić uniesiony przez zbyt gorący temperament, a ile razy zraził kogokolwiek chłodem surowej myśli w godzinę walk gorących; sam raczej chętnie przełożę zastanowienie się nad dziwną zagadką, że człowiek, który, jak orzeł skalny, potrafił wznosić się na wyżyny myśli abstrakcyjnej, potrafił także zlatywać w niziny i orlemi szponami szarpać grzbiety wilkom i lisom.

Kto uważnie przestudjował dzieła Świętochowskiego, ten zauważyć musiał, że kłócą się tam zwykle dwie dusze — jedna beznamiętnie mądra, która rozgrzesza wszystkich i wszystko, i druga, która przemawia w imię potęgi uczuć. A chociaż autor ze zdolnością Protagorasa - sofisty potrafi drwić z tych, którzy mieszają etykę do sądów estetycznych, wpuszczając (jak się wyraża) niby żabę do zupy, to przecie szalę zwycięstwa przechyla on zawsze na stronę tych, co, oduczywszy się nienawidzieć, nie mogą jednak oduczyć się kochać.

I ostatecznie sam Świętochowski, jeżeli nie oduczył się nienawidzieć, to dlatego, że jego nienawiść kierowała się najwięcej na małość, prześladującą cierpienie. Dlatego pewnego dnia utrwala obraz woźnicy, bijącego woły, i opowiada nam, jak na pytanie: „za co je bijesz?“ — tamten odpowiada zdziwiony: „Panie, przecie prowadzą je na rzeź.“

Zasadniczym obrazem, do którego powraca Świętochowski, jest obraz podłej intrygi, która pełza w mroku i poduszcza ciemnotę przeciwko ludziom wielkiej myśli i wielkiego serca. I ciemnocie Świętochowski przebacza zawsze i wszystko, ale nie może przebaczyć nic podłej mąd-ości.

Tu temperament jego zat-zymuje jego filozofję.

A wielki pesymista podkreślający w człowieku zamiłowanie bicia prowadzonych na rzeź, potrafi być optymistą zawsze, kiedy opowiada nam o nieśmiertelności myśli, jak feniks wylatującej z popiołów — „Ojca Makarego“ i „Antoniego Wiszara“ — wcielającej się w coraz inne dusze i dążącej w nieskończoność z wiarą w zwycięstwo Prometeuszów.

I za to zasługiwałby on na cześć nawet wrogów swoich, gdyby rozumiano u nas, że złem nie jest walka myśli, stanowiąca nieodzowny warunek postępu, ale nizkie formy tej walki i że z pewnością nie wytwarzał tych nizkich form gorący temperament dobrej woli w obozie młodych, ale raczej zimna obłuda złej — w obozie starych, któremu bój wytoczył Świętochowski.

Ponieważ jednak wierzę głęboko w to, że dobra wola była i może być wszędzie, we wszelkich

---

Nie wierzcie mu o ludzie tragiczni! Znam ja go dobrze tego Janusa i szynkarza, kpiącego »wobec was« z Absolutu.

Odęta gęba, stale moczona w czystej liryce na 57°, tego wesołego kuglarza płodzi czasami fosferentyczne, kalejdoskopowe błyski dowcipu, nieraz poroni ona jakieś bolesne zjadliwe szyderstwo, wykrzywi się w skurcz złośliwego sarkazmu, lub splunie wydzielinami żółci. Czy zasługuje jednak na wiarę ów wielbiciel suchych nóg płatnej kochanki — niewolnik damskiej tygodniowej bielizny — poganiacz trzody chlewnej — bezbożnik — zaprzańca — erotoman i akrobata?

Nie wiem..

Warszawa
roku pańskiego 1908.
w miesiącu wrześniu —
w dniu 23-cim owegoż miesiąca
ad majorem Dei gloriam
i na pożytek ludziom tragicznym
ówczesnego uspołecznienia rzecz ową
napisał

Antoni Nowacki.

---

obozach, bo żadne przekonanie nie jest wolne od błędów, a żaden umysł wolny od pomyłek, mam tedy prawo w dniu jubileuszowego święta autora „Duchów“ i „Aspażji“ wyrazić zdziwienie, że przeciwnicy Świętochowskiego, mając prawo do sporu z człowiekiem przekonań, nie potrafili w nim uczcić wielkiego Polaka.

Bo na niwach literatury naszej tylko w jednem miejscu spotyka się gmach marmurowy o architekturze świątyni greckiej — tam, gdzie stanął twórczy duch Świętochowskiego, a każdy Polak, który zasłania sobie lub innym oczy na ten jedyny Panteon Polski zuboża literaturę polską o jeden skarb i zmniejsza jej prawo do jednego hołdu więcej.

Ale Świętochowski nie ma do tego gatunku „dwunogich“ żalu o to, bo on zapatrzony jest, jak powiada o nim Konopnicka, w gwiazdę, która go „prowadzi i trzyma nad przepaściami złotemi oczyma“.

Bo słusznie powiada doń wielka poetka:

Wiem! Tyś jest żeglarz, co w kruchej łupinie
Zysków nie spławia, po zyski nie płynie, —
Co łódź odbiwszy wskroś srebrnych pian śniegu,
Nawet swe serce zostawia na brzegu.

Wiem! Tyś jest żeglarz, co w drodze nie liczy
Ani strat swoich, ni swoich zdobyczy,
Bo nie dla siebie płynie i zdaleka,
Na drugim brzegu zapłaty nie czeka.

Wiem! Tyś jest żeglarz, wskroś burzy, co słyszy
Pieśń wiekuistej harmonji i ciszy,
Co nawet wpośród własnego rozbicia
Czuje się kręgiem objęty wszechżycia!

Leo Belmont.

KULTURA LOKAJSTWA.

„Zgniła Europa“ — jak ją niegrzecznie nazwano — uważa się zawsze za najwyżej na skali cywilizacji stojącą część świata.

— Nie bez zasady. Kolebka kultury najzdolniejszej, najruchliwszej i najenergiczniejszej białej rasy zajmuje ona w historji rozwoju ludzkości — prawie od jego zarania aż do chwili obecnej — jeśli nie zawsze naczelne, to jedno z przodujących miejsc. Szybki zaś postęp ostatnich stuleci oddał jej władzę nad globem.

Lecz kultura i jej zdobycze nie zna granic politycznych, narodowościowych lub terytorjalnych. Nie daje się ona uwięzić zazdrośnie dla wyłącznego użytku grupy społecznej, państwa czy też rasy.

I nowe, do niedawna dzikie, kraje, na które Świat Stary przywykł spoglądać tylko jako na źródło należnych mu bogactw, otrząsnąwszy się z europejskiej opieki, poczęły samodzielnie kroczyć w cywilizacyjnym pochodzie.

Pełne świeżych sił żywotnych, niezmordowane w pracy twórczej, wolne od skostniałej a nie zawsze zbawiennej tradycyjności, zdumiewają one swym nadzwyczajnym postępem i wnoszą niejeden nowy element w życie współczesne.

I linje kulturalnego przodownictwa mogą się rozwiać...

Już obecnie niema prawie dziedziny, w której Europa mogłaby z spokojną dumą stwierdzić swą niezachwianą przewagę.

Urządzenia społeczne? Bodaj iż lepiej Staremu Światu otulić się w płaszcz skromności i nie występować w szranki.

Swobody polityczne? Wystarcza porównać prawa zadowolonego prusaka, wyjącego „Deutschland über alles“, z obywatelstwem amerykańskiem. Pomijam już kraje, gdzie stosunki polityczne reguluje rzeź, a równość obywatelska istnieje jedynie w obliczu szubienicy.

Wiedza, sztuka, oświata? W znaczeniu muzealnem, historycznem Europie przypada niezaprzeczone pierwszeństwo. Lecz japończyk odznacza się wyższem poczuciem estetyki, niż przeciętny europejczyk. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej mniej jest analfabetów, niż w Austrji.

We wszystkich więc poszczególnych dziedzinach współczesnej kultury Europa znaleźć może groźne współzawodnictwo, i rezultat ostatecznego porównania nie zawsze jest pewny.

Pod jednym względem jest ona *hors concours*. Jeden rys typowy, cecha wysoce charakterystyczna, nadaje życiu europejskiemu odcień jemu tylko właściwy. Jest to spotykający się wszędzie, na każdym kroku, we wszystkich zakresach — duch kastowości.

Wszędzie na szerokim świecie byli i są bogaci i biedni, mądrzy i głupi, potężni i słabi. Lecz nigdzie nie spotyka się tak powszechnej, jak w Europie, tak głęboko zakorzenionej wiary w „wysokie posłannictwa“, w „historyczne rody“, w „błękitną krew“ i temu podobne bezsensy.

Płaszczenie się przed bogactwem, a zimna pogarda dla ubóstwa, pełzanie przed siłą, a brutalność dla słabości, manja wielkości potentatów mamony lub „urodzonych“, a służalczość, często przez nędzę wymuszona, — to najtypowsze rysy Starego Świata. Jak Janus, mądry król dawnego Latium, ma europejczyk dwie twarze: groźnie zmarszczoną lub poddańczo zachwyconą.

Za pieniądze wszędzie na świecie kupić można wszystko, nawet sumienia, — lecz nigdzie nikomu nie przychodzi do głowy nadawać temu pozory obłudne, a poniżające wprost poczucie człowieczeństwa; nigdzie też nie otacza miljonera-giełdziarza lub dziedzicznego matołka — aureola „człowieka z innej mąki“.

Europejski „książę krwi“ nietylko iż sam się uważa za istotę wyższą, lecz zawsze jeszcze wzbudza cześć bogobojną w gnącym się niewolniczo tłumie. Hydrocefalowaty hrabia zawsze jeszcze uchodzi za „najpiękniejszy kwiat kultury“ w wielu oczach.

Ta furja kastowości nie byłaby niebezpieczną, gdyby kończyła się na niesmacznej uniżoności siwowłosego służącego przed wysmokingowanym wyrostkiem w restauracji, lub na nadawaniu małpiej postaci ogolonemu kamerdynerowi, — w widocznej obawie, aby sam „jaśnie pan“ nie został wzięty za swego własnego fagasa. Nie jest to dlań pochlebne, że się do tak sztucznych uciekać musi środków. Lecz jeśli to potrzebne i miłe dla stron obu, jeśli to zaspakaja porywy „błękitnej krwi“ i służalcze instynkty lokajskich dusz, — to niech im to służy, nie byłoby w tem wielkiego nieszczęścia.

Niema też nieszczęścia, — jeśli czułe serca małomieszczańskich „posażnych panien“ łzawią się w rozkosznem omdleniu na sam widok kujawskiego czy łowickiego dzierżawcy Baraniej Wólki.

Są to kwiaty z jednego ogródka. Jemu codzienną sferę duchowych i fizycznych potrzeb wypełnia w zupełności — Kaśka z czworaków i kwaśne mleko z kartoflami; ona słodzi bezdenną nudę pustego istnienia mdłym erotyzmem półdziewiczych marzeń. On w stolicy — dzięki zaopatrzeniu się w rękawiczki i pół tuzina kołnierzyków — zamienia się ku szczeremu własnemu i jej zachwytowi w wytwornego potomka „rycerskich tradycji“, *gentlman'a pur sang, cabbaleiro fidalgo;* ona — w dniu przyjęć — promienieje tajemniczą poezją maeterlinckowych fantazmów. Razem, są oni jak stworzeni dla propago-

wania dalszej kultury zaściankowo-małomieszczańskiej zakamieniałej głupoty i bezmyślnej histerji. I nikt im zapewne w spełnianiu tej wdzięcznej dziejowej roli przeszkadzać nie będzie!

Lecz jeśli ten duch kastowości, przywilejów i nierówności, duch lokajstwa i megalomanji przenika wszystkie sfery życia, staje się on już nietylko wstrętnym, lecz poważnym brakiem społecznym, o nieobliczalnych niekiedy następstwach, staje się on prawdziwym hamulcem normalnych stosunków i postępu.

I pod tym względem szczera demokratyzacja społeczeństw amerykańskich służyć może za jaskrawy przykład dla dawnych metropolji.

Weźmy nie już Amerykę północną, lecz chociażby Brazylję, zaledwie od jednego pokolenia uwolnioną od plagi niewolnictwa.

Nie brak tu miljonerów lub „dobrze urodzonych", Taki np. pan Tibiriça, potomek walecznego kacyka, który po krwawej obronie swych posiadłości zawarł pokój z odkrywcą Brazylji, Alvarez Cabrolem w r. 1500-ym, jest przecie — heraldycznie nawet rzecz biorąc — „lepiej" urodzonym od napoleońskiego hrabiego lub papieskiego barona. Lecz ten pan Tibiriça, miljoner i były prezydent stanu, uważa się za takie same dwunożne zwierzę ludzkie, jak wolny od lat 20 zaledwie murzyn lub emigrant-robotnik. I ani on sam, ani nikt nie wierzy w „posłannictwo jego historycznej rodziny", w „arystokrację jego krwi" lub w podobne europejskie brednie.

Rozmówić się w razie potrzeby z ministrem amerykańskim jest rzeczą nieskończenie łatwiejszą i prędszą, niż dostanie się do świętego przybytku, w którym raczy drzemać europejski „pan naczelnik", „pan radca" lub inna ekscelencja.

I prezydent republiki amerykańskiej napewno okazuje więcej względów dla interesanta, niż kancelista biura (— zwłaszcza już rządowego —) w Europie, który swą bezdenną uniżoność dla jednej strony pragnie zrównoważyć odpowiedniem grubjaństwem dla drugiej.

W Ameryce interesantów wszelkiego rodzaju załatwiają kierownicy danej instytucji. Gabinet dyrektora kolei, banku, przedsiębiorstwa, biura, — leży z brzegu, tam gdzie w Europie umieszczają groźnego cerbera dla obrony wstępu do *sacrosanctum*. Dyrektor przyjmuje każdego, kto się zgłosi, i tylko w razie potrzeby skierowywuje do odpowiedniego wydziału lub urzędnika. Nie ma różnic między bogaczem w lakierkach, a ubogim robotnikiem, szukającym pracy. Nikt nic traci drogiego czasu, nie wędruje od stolika do stolika przez całą hierarchję biurową. System ten nie jest bez korzyści dla stron obu.

Zresztą ta demokratyczna prostota, ta równość i swoboda panuje nie tylko w sferze biurowej, handlowej lub przemysłowej; odbija ona swe piętno na wszystkich drobnych i ważnych zdarzeniach życia, we wszystkich zakresach spraw publicznych.

Jedyny arystokratyzm, jaki pozostaje — w dziedzinie towarzyskiej, prywatnej, indywidualnej, — to arystokratyzm ducha. Rzecz jest naturalna, iż ludzie kultury duchowej w życiu osobistem starają się wytworzyć warunki i środowisko, najodpowiedniejsze dla swych intellektualnych wymagań, dla swych estetycznych aspiracji. Ten, jedynie zrozumiały, arystokratyzm usprawiedliwiony jest już chociażby przez to, iż nie skrywa się on za chińskim murem sztucznych a przeżytych przywilejów; wstęp tam otwarty dla wszystkich, kogo wiodą upodobania — bez kiesy złota, bez heraldycznych dyplomów, bez biurokratycznego paszportu.

A właśnie na tę kulturę duchową niemą już zwykle miejsca tam, gdzie niepodzielnie panują arystokratyzmy magnackie, finansowe, szlacheckie, mieszczańskie i t. p.

Bez wątpienia tchną one naiwnym wdziękiem nieświadomej tradycji lub sobkowskiego odurzenia i zapewne godne są też one pióra poety; jednak opiewać ich nie będę, gdyż, niestety:

Ani Trackiego wieszcza nie mam z sobą cytry,
Ani Sybilla złotej dała mi gałęzi...

São Paulo, Wrzesień, 1908. *Włodzimierz M.*

KONGRES W GENEWIE.

W Genewie odbył się X z rzędu kongres Międzynarodowej federacji abolicjonistycznej, założonej w roku 1875 przez Józefinę Butler dla walki z reglamentacją prostytucji. Poruszonym został stosunek reglamentacji do handlu żywym towarem. Między innemi na porządku dziennym była kwestja, czy istnieje zasadnicza różnica w charakterze działalności handlarza żywym towarem, a właściciela domu publicznego, koncesjonowanego przez państwo i tolerowanego przez prawo. Po wysłuchaniu wielu przemówień, kongres przyjął rezolucję, stwierdzającą, iż z punktu widzenia moralności społecznej i skutków praktycznych, niema wcale różnicy w działalności zarówno jednego, jak też drugiego. Obrady nad jednym z nader ważnych punktów porządku dziennego kongresu, „czy prawodawstwo przeciwko handlowi żywym towarem da się pogodzić z dotychczasowym stosunkiem prawa do stręczycielstwa tolerowanego, a więc i do tolerowanych domów publicznych" — wykazały dobitnie, iż prawo nie jest w zgodzie ze sobą, walcząc z jednej strony z handlem żywym towarem i tolerując a nawet zezwalając na istnienie domów publicznych z drugiej, istnienie bowiem domów tych związanem jest ściśle z powyżej wzmiankowanym handlem. W Paryżu w r. 1904 rządy państw europejskich podpisały umowę, mającą na celu walkę z handlem żywym towarem. Ale walka ta w znacznej części jest jałową, ponieważ osłabia ją ten sam brak konsekwencji: chcąc zwalczać skutecznie niecny handel, powinno się w pierwszym rzędzie obalić istniejącą dotąd w wielu jeszcze państwach reglamentację, a tego właśnie brak w podjętej przez rządy akcji. Taki pogląd wypowiedziany został przez wielu delegatów na kongresie genewskim. Delegat z Paryża, adwokat Gyème, zakończył swe przemówienie zwrotem, że „walkę z handlem w państwach, gdzie istnieje system reglamentacji wypada uznać wprost za niemożliwą". Obok powyższych kwestji, poruszył kongres sprawę, z jakich elementów i z jakich warstw społecznych werbują się prostytutki domów publicznych. Okazuje się, że olbrzymi odsetek przypada na dziewczęta, które dotąd się prostytucji nie oddawały. Jest to zresztą, podług nas, zupełnie zrozumiałe i wprost konieczne przy istnieniu reglamentacji policyjno-lekarskiej. O ile bowiem reglamentacja usuwa z domów publicznych dziewczęta dotknięte chorobą, o tyle napływać musi nowy, zdrowy i powabny, towar, jest to *conditio sine qua non* istnienia domów publicznych i jest połączone z międzynarodowym zorganizowanym handlem żywym towarem. Słusznem jest więc powiedzenie, że się nie wierzy w skuteczność walki z prostytucją i handlem, z nią związanym, w tych państwach, w których dotąd utrzymuje się reglamentacja. Co się tyczy tego, z jakich warstw społecznych rekrutują się mieszkanki owych domów męki i hańby człowieczej, to referat delegata Morsier'a dostatecznie wykazał, iż w pierwszym rzędzie proletarjat płaci ze swych cór daninę i tej instytucji. Bo służące, modniarki, robotnice, sklepowe — stanowią największy

odsetek dziewcząt publicznych. Widzimy więc, że zawody najgorzej opłacane są najlepszym gruntem, na którym bujnie się pleni handel własnym ciałem. Głód, nędza, opuszczenie, niezaspokojenie potrzeb życiowych — pcha dziewczęta w szeregi prostytutek i goni porą wieczorową na zbiegi ulic ruchliwych. Zasługą kongresu genewskiego jest to, iż poruszył tę ostatnią kwestję — mianowicie stosunku prostytucji do płacy i warunków pracy kobiet. Kongres jednogłośnie uchwalił postawienie tej kwestji na porządku dziennym przyszłego kongresu Federacji.

A. Rząśnicki.

ECHA.

BARBARZYŃSTWA RYTUALNE.

Sensację w prasie wywołał list p. Hermana Grynszpana, który protestuje przeciwko rytualnej operacji obrzezania dokonanej na trupie jego dziecka wbrew jego woli. W kilka dni potem zjawił się w prasie inny list, z którego dowiedzieliśmy się, że jeśli umrze żydówka ciężarna, to przed pochowaniem wyprówają z niej płód i chowają go oddzielnie. Prasa polska oba te fakty zanotowała z oburzeniem, prasa żargonowa natomiast poddając się w tym względzie władzy rabinów, ostro wystąpiła przeciwko wtrącaniu się katolików w nie swoje rzeczy. Tej strony kwestji poruszać nie będziemy; objawy barbarzyństwa u żydów — wobec ich powszechnego prześladowania i sztucznego utrzymywania w ciemnocie, dziwić nie mogą. Chodzi nam tu o co innego, a mianowicie o stanowisko zarządu gminy żydowskiej. Zarząd ten wybierany na zasadzie wysokiego cenzusu majątkowego (na kilkaset tysięcy żydów tylko 2,000 ma prawo wyborcze do władz gminy) powinienby nie zasypiać na laurach swoich przywilejów, lecz walczyć z ciemnotą i fanatyzmem. Tymczasem zarząd gminy w tej sprawie, która tak żywo poruszyła umysły, milczy... Czyżby z braku odwagi?

ZWIĄZEK DZIENNIKARZY.

W nadchodzącą sobotę, d. 17 b. m. odbędzie się nadzwyczajne zgromadzenie ogólne kasy Literackiej poświęcone sprawie zapisu pani Kowalskiej, o którym pisaliśmy w poprzednim numerze.

Jaka szkoda, że literaci i dziennikarze, na tak rzadkich zgromadzeniach ogólnych swojego zrzeszenia, omawiają tylko sprawy finansowe, pomijając cały szereg palących spraw zawodowych, a przedewszystkiem sprawę związku zawodowego. Sprawa ta kołacze się podobno od lat kilku, zajmowało się nią kilka komisji, dotąd jednak bez pomyślnego wyniku. Nic w tem dziwnego, bo przecież zajmują się tą sprawą redaktorowie i wydawcy, a więc ci, którzy najmniej czują potrzebę zawodowej obrony interesów robotników pióra. W inne energiczniejsze ręce dostała się ta sprawa w Petersburgu, gdzie—jak donosi „Nowa Ruś" grono dziennikarzy wydało odezwę następującą:

— Zbytecznem byłoby mówić, do jakiego stopnia niepewne jest położenie „wyrobników prasy" t. j. współpracowników gazet, kompilatorów, tłomaczów, sekretarzy, korektorów i t. p. Nie gwarantowani niczem od wahań rynku i samowoli przedsiębiorców, bez żadnego zabezpieczenia w przyszłości, w pojedynkę prowadzimy ciężką walkę o byt, zapominając o zasadach wzajemnej pomocy, które ciągle propagujemy dla innych.

Nawet w Turcji, w tej Turcji która do wiekopomnej daty 23 lipca uważana była za siedlisko wszelakiego zacofania, nawet tam organizacja prasy staje się faktem dokonanym. Będzie to organizacja zawodowa, cele jednak materjalne (w ścisłem słowa tego znaczeniu) będą w niej na drugim planie. Pierwszy paragraf „związku prasy ottomanskiej" wymaga aby wszyscy członkowie pod przysięgą zobowiązywali się walczyć o konstytucję.

Czas, czas wielki poważnie zająć się organizacją związku zawodowego dziennikarzy.

Nadchodzące zebranie daje możliwość liczniejszemu gronu dziennikarzy zainterpelować osoby, które się zajmują sprawą legalizacją ustawy związku, co zrobiły dotąd i co zrobić zamierzają, aby związek mógł wreszcie powstać.

NA WIDNOKRĘGU.

Z SOSNOWCA.

Sprawa szkolna, rzecz tak ważna, zajmująca umysły w całym naszym kraju, tu w Sosnowcu ma osobną swoją choć krótką, ale obfitą w wypadki i ciekawą historję. Nim Sosnowiec uzyskał, niestety, tytuł trzeciego z rzędu w naszym kraju miasta, były na całej przestrzeni obecnie wkluczonej do miasta, dwie szkółki elementarne t. zw. gminne, jedna na gruntach H-go Renard należąca do gminy Gzichów, a druga na gruntach t. zw. Kramtszą należących do gminy Dąbrowa i te zamienione zostały odrazu na szkółki miejskie.

W przeciągu kilku lat przybywało szkółek coraz więcej, aż w 1907 r. budżet szkolny podskoczył z 14 na 42 tysiące rubli rocznie na utrzymanie 17 szkół elementarnych, a że magistrat tak wielką stosunkowo sumę sam się wzdragał rozłożyć na mieszkańców miasta, zwołał radnych i kilku wybitniejszych obywateli miejskich nad przedmiotem tem się naradzić. Na posiedzeniu tem zapadła decyzja, aby wybrać komisję organizacyjną, która z prezydentem p. Sofronowem na czele miała zwołać ogólne zebranie wszystkich mieszkańców miasta, którzy według istniejących praw stanowią towarzystwo szkolne, celem wybrania 18 członków, (12 chrześcijan i 6 żydów) którzyby stanowili komitet szkolny i w imieniu wyborców pracowali nad sprawami szkół elementarnych miejskich. Pan Sofronow, prezydent miasta, uzyskawszy pozwolenie naczelnika dyrekcji naukowej, wydał z kasy miejskiej rs. 100 na koszta zwołania ogólnego zebrania i takowe w dniu 18 Sierpnia 1907 roku w sali miejscowego teatru zwołane zostało.

Wybrani w tym dniu członkowie komitetu szkolnego, dopiero w Październiku tegoż roku, przez naczelnika dyrekcji zatwierdzeni zostali.

W skutek nawału pracy, w pierwszych miesiącach swej egzystencji, członkowie komitetu szkolnego, zbierali się dwa razy na tydzień (w poniedziałki i czwartki) w sali magistratu, gdzie pod przewodnictwem prezydenta pracowali po kilka godzin, do późnej nocy,

Wszystkie protokuły posiedzeń w kopjach były wysyłane do naczelnika dyrekcji na zatwierdzenie. Powoli jednak, komitet szkolny napotykał rozmaite trudności, stawiane mu przez dyrekcję naukową.

Ze Komitet Szkolny niema prawa się mieszać do spraw pedagogicznych i samego sposobu nauczania dzieci w szkołach, o tem członkowie komitetu wiedzieli, ale byli przekonani że część gospodarcza szkół, jako to, najmowanie lokalów na szkoły, umawianie się o czynsz lokali, zakupywanie rzeczy do szkół i tym podobne związane z gospodarstwem należą do nich i wszelka pod tym względem inicjatywa od nich zależna, tylko wszelkie projekty i decyzje winny być zaaprobowane przez naczelnika dyrekcji. Tymczasem naczelnik dyrekcji wyjaśnił, że co do lokalów dla szkół, to członkowie komitetu mają prawo jedynie takowe wy-

szukiwać, a umawiać się o cenę i zawierać kontrakta należy jedynie do magistratu.

W skutek takich i tym podobnych wyjaśnień kilku członków Kom. Szkolnego zrzekło się swej godności i z komitetu się usunęli.

W tym czasie nastąpiła zmiana prezydenta miasta, na miejsce pana Sofronowa przybył p. Kozłowski były pomocnik naczelnika będzińskiego powiatu i sądząc z nazwiska, komitet był pewny że nowy prezydent wszelkie nowe kwestje komitetowi szkolnemu ułatwi i praca w tak ważnej rzeczy jaką jest szkolnictwo, pójdzie torami należytemi, ręka w rękę, po obywatelsku, aliści nadzieja zawiodła, gdyż wszelkie kwestje niejasne, wszelkie punkty prawne, które można rozmaicie komentować i tłumaczyć, pan prezydent Kozłowski zazwyczaj sprzecznie ze zdaniem Komitetu Szkolnego wyjaśniał, tak że mimo woli wytworzył się konflikt pomiędzy przewodniczącym komitetu, panem Kozłowskim a członkami komitetu.

Jeszcze przed utworzeniem komitetu szkolnego, sam magistrat zawarł dwa kontrakty na wydzierżawione dwa domy Wilka i Goniewiczowej, w których miały być umieszczone 8 szkół, po 4 w każdym domu wraz z mieszkaniem dla nauczycieli, kontrakty te zostały przysłane przez naczelnika dyrekcji do komitetu szkolnego który miał swoją co do tych domów i kontraktów wydać opinję.

Komitet Szkolny orzekł: że chociaż sam lokal na szkoły odpowiada w zupełności, jednak nie może się zgodzić na punkta zawarte w kontraktach, 1-e płaca za szkoły jest za wielka (po 900 rubli rocznie), 2-e termin 12-to letni jest za długi, 3-e asenizacja domów i zarząd nimi na koszt kasy miejskiej, 4-e za wodę jaka do piwnic dostać się może właściciel odpowiedzialności na siebie nie bierze i t. p. i orzeczenie to wraz z kontraktami Komitet Szkolny zwrócił p. naczelnikowi dyrekcji. W jakiś czas później, kontrakty te jednak zatwierdzone zostały, wbrew opinji komitetu szkolnego. Dla rozłożenia podatku szkolnego na rok 1907 i na rok 1908, komitet wypracował system opodatkowania postępowy (progresywny) i wciągnął przeszło 5 tysięcy osób do składki; panu prezydentowi ani system opodatkowania ani ilość płacących się nie podobały, — ułożył przeto drugi rozkład na te lata sam, bez udziału komitetu szkolnego, do którego wciągnął zaledwo 3000 osób, i pan naczelnik dyrekcji naukowej roskład ten zatwierdził, niezależnie od tego, przysłał wyjaśnienie na ręce p. Kozłowskiego, w którem powiedziano że Komitet Szkolny jest komisją jedynie z głosem doradczym i że żadna incjatywa z jego łona wychodzić niemoże.

Niezależnie od tego, gdy Komitet Szkolny, domagał się aby magistrat przedstawił mu wszystkie dowody na wydatkowane sumy w 1907 roku, na umeblowanie kilku szkół, z wyszczególnieniem każdego przedmiotu, pan prezydnt miasta porozsyłał odezwy do członków Komitetu Szkolnego, w których komunikuje im, że pan naczelnik dyrekcji komunikatem swoim z dnia 17 Września r. b. za № 12893, zniósł Komitet Szkolny który od dnia 15 Września już istnieć przestaje. Zniesienie Komitetu Szkolnego, p. naczelnik dyrekcji motywuje tem że Komitet Szkolny działał orginalnie (своеобразной дѣятельности), stawiał nieprawne żądania (?) i przesyłał nieuzasadnione skargi.

Jak dotąd Komitet Szkolny żadnych skarg nigdzie nie wysyłał, a nieprawnych żądań żadnych stawiać niemógł, gdyż z urzędu naznaczony przewodniczący, p. prezydent Kozłowski na każdem posiedzeniu był obecny i pilnował by komitet nic nieprawnego nie żądał.

Nie natem jednak koniec.

W tych dniach prezydent miasta Sosnowca p. Kozłowski odezwami swojemi zawiadomił b. członków Komitetu Szkolnego, że ze względu na to, iż naczelnik dyrekcji, rozchodu na zwołanie ogólnego zebrania mieszkańców miasta na dzień 5/18 Sierpnia 1908 roku, wynoszący rs. 81 kop. 30, nie zatwierdził, przeto żąda aby 18 członków b. Komitetu Szkolnego wnieśli jak najprędzej do kasy miejskiej po rs. 4 kop. $51^1/_2$, w przeciwnym bowiem razie, będzie zmuszony sumę tę wywindykować srodkami przymusowemi.

I tem. żywot Komitetu Szkolnego miasta Sosnowca, pan prezydent Kozłowski zapieczętował.

Henski.

GOSPODARKA MIAST PROWINCJONALNYCH.

Na niedawno odbytym zjezdzie lekarsko-hygjenicznym w Lublinie dr. Józef Jaworski wygłosił odczyt o „gospodarce finansowej zarządów miejskich". Z cyfr w odczycie zawartych przekonywamy się, że gospodarka miast prowincjonalnych jest jeszcze rozpaczliwsza, niż Warszawy. A więc:

Brześć Kujawski wydał w r. 1907:

na zakłady dobroczynnne	57	rub.	80	k.
— szkoły	400	—	—	—
— zewn. stronę miasta	39	—	54	—
— studnie	38	—	04	—
pozostałość zaś na r. 1908	*1,153*	—	*21*	—

Gąbin wydał:

na zakłady dobr.	153	rub.	35	k.
— szkoły	810	—	—	—
— studnie	35	—	85	—
pozostałość na r. 1908	*4,917*	—	*47*	—

Radzymin wydał:

na szpitale	175	rub.	37	k.
— szkoły	175	—	—	—
— sadzenie drzew	30	—	—	—
— zew. wygl miasta	81	—	95	—

Płońsk wydał:

na szpitale	322	rub.	33	k.
— szkoły	1,045	—	—	—
— zewn. str. miasta	319	—	75	—
— zasiłek byłemu burmistrzowi na kształcenie dzieci	400	—	—	—

Łowicz wydał:

na szpitale	302	rub.	40	k.
— ochronę miejską	600	—	—	—
— dom starców	150	—	—	—
— szkoły	1,700	—	—	—

Nieszawa:

szpitale	524	rub.	90	k.
szkoły	0	—	—	—
studnie	10	—	—	—
zew. str. miasta	76	—	86	—

Nowo-Mińsk:

szpitale	110	rub.	60	k.
szkoły	325	—	—	—
studnie	26	—	—	—
pozostałość	312	—	—	—
uzupełnienie kapitału w B. Państwa	*323*	—	*54*	—

Sochaczew:

szpitale	183 rub.	45 k.
ambulatorjum	350 —	— —
szkoły	*90* —	— —
studnie	68 —	— —
pozostałość	*2,987* —	*15* —

Strzemieszyce:

szpitale	1,169 rub.	71 k.
zewn. str. miasta	478 —	61 —
szkoły	*0* —	— —
pozostałość	849 —	74 —

Kutno:

szpitale	306 rub.	75 k.
szkoły	225 —	— —
studnie	120 —	— —
pozostałość	*2352* —	*36* —

Mszczonów:

szpitale	147 rub.	37 k.
szkoły	140 —	— —
(przy budżecie	6,152 —	32 1/2)

Kałuszyn:

szpital	267 rub.	99 k.
szkoły	57 —	20 —
zew. str. miasta	107 —	28 —
pozostałość	192 —	51 1/2

Nasielsk

szpitale	144 rub.	31 k.
szkoła	100 —	— —
pozostałość	535 —	54 —

Ogólnie budżet 103 miast Królestwa Polskiego (bez miast gubernjalnych i Łodzi) wynosi: sumą rozchodów 750,415 rub., w tem wydatki na administrację — 432,748 rub., na oświatę i dobro czynność zaś 61,128 rb., a więc na administrację wydaje się 57,7% budżetu, podczas gdy na oświatę i dobroczynność publiczną tylko 8,1%.

W miastach gubernjalnych stosunek zmienia się bardzo nieznacznie: na oświatę wydaje się wprawdzie więcej (67, 131 rub.) t. j. 9, 3%, ale za to na administrację idzie aż 67, 9% (484:962 rub.).

Widzimy więc, że gospodarka finansowa miast i miasteczek Królestwa Polskiego przedstawia zjawisko niezwykłe; w Europie Zachodniej miasta nie mają wolnych kapitałów, najczęściej zaś bywają bardzo obdłużone (Berlin ma z górą 120 miljonów długów, Brukselia przeszło 100; Lipsk koło 30 i t. d. Przeciwnie nasze miasta i miasteczka posiadaja znaczne kapitały zapasowe. Jednocześnie jednak nie wydają nic, lub śmiesznie mało na najniezbędniejsze potrzeby: na szkoły i urządzenia zdrowotne. Zarządy miejskie w naszym kraju przy układaniu budżetów i ich wykonywaniu starają się usilnie o wykazanie w końcu każdego roku mniej lub więcej znacznej przewyżki dochodów nad wydatkami. Kapitały będące własnością miast stanowią t. zw. depozyty wieczyste dające 4% rocznie, lub leżące bez oprocentowania w razie przelania ich do kas gubernjalnych albo depozytów ministerjum spraw wewnętrznych. Kapitały te nietylko nie dają żadnych dochodów, ale są unieruchomione na wieczne czasy, Jakkolwiek w ostatnich czasach warunki zmieniły się nieco na lepsze, to jednaki obecnie ze 103 miast prowincjonalnych Królestwa w 43, a więc prawie w połowie zauważyć się daje dążenie do kapitalizacji i unieruchomiania dochodów. Nie dość na tem: w wydatkach ponoszonych miejsce naczelne zajmują wydatki na administrację: w większości miast gubernjalnych wydatki na administrację przenoszą połowę ogólnej cyfry wydatków, przyczem w Łodzi, Płocku i Siedlcach wydatki przewyższyły 2/3 ogólnej sumy wydatków, a w Łomży nawet 3/4!

Natomiast wydatki na cele społeczne w miastach gubernjalnych (oświata ludowa, dobroczynność publiczna) w 2 miastach (Kalisz-Radom) przekroczyły 10% ogólnej cyfry wydatków bieżących; w 7 miastach wynoszą od 4 do 8%, a w Siedlcach 1, 5% budżetu! Wogóle na 1 rubel wydany na oświatę przypada 6, 4 ruble wydane na utrzymanie zarządu miejskiego. Z ogólnej sumu 104 miast niegubernjalnych Królestwa, w 27 wydatki na cele kulturalne nie przewyższały 100 rub., w 6 miastach wynoszą od 8 do 12 rub., a w 5 miastach na oświatę i dobroczynność nie wydano ani grosza.

Jako zasadę ogólną dr. Jaworski stawia następujące żądania zarządom miejskim:

1). Nie oszczędzać, nie kapitalizować, lecz umiejętnie stosować wydatki do rzeczywistych potrzeb ogółu. Do tego celu zarządy miejskie dążyć powinny przez odpowiednie układanie budżetu dochodów i rozchodów i umiejętne zarządzenie niemi.

2) Dążyć do tego, by siła podatkowa ludności użyta została w jaknajwiększym stopniu na potrzeby i korzyści publiczne, a koszta samej administracji miejskiej winny być sprowadzone do minimum.

Gospodarka publiczna czynności swe powinna obliczać na całe szeregi lat, aby i w przyszłości społeczeństwo korzystać mogło w stopniu nawet większym z zarządzeń dzisiejszych..

Zarządy miejskie nie powinny istnieć dla siebie, jak to się niestety, dziś dzieje.

Odczyt swój dr. Jaworski zakończył słowami Monteskjusza:

Dochody państwa stanowią część własności każdego obywatela, którą on udziela skarbowi, aby zapewnić sobie pewien dobrobyt, a stopień napięcia siły podatkowej idzie zawsze w parze z większą lub mniejszą wolnością polityczną danego narodu.

Niestety, słowa te długo jeszcze będą stanowiły pobożne życzenie!

P. W.

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

K. Przerwa — Tetmajer »Z wielkiego Domu«. Warszawa 1908.

Na blizkich sercu motywach zagrał Tetmajer pierwszą swą nowellę z całego zbiorku, wydanego pod ogólnym tytułem »Z wielkiego Domu«. Widzimy w niej przykry (ach jaki przykry) *Sen nauczyciela w Pałkanowie*, który wróciwszy z sądu zasnął snem sprawiedliwego. I jakże nie miał spać spokojnie pan Wilhelm Gruene skoro uczynił rzecz piękną — szlachetną, przynoszącą zaszczyt wszystkim niemieckim nauczycielom i wszystkim niemieckim obywatelom: skopał i obił niemiłosiernie swego ucznia albowiem *der verfluchte polnische Bub* nie chciał się po niemiecku modlić. I oto zobaczył mnóstwo ślicznych aniołków — o białych skrzydełkach — i Jasia Polepę (dieser verdammte Kerl) którego prowadziła przed oblicze Boga ta sama zimna, koścista śmierć, przez którą dostał się w lepsze wiaty. I oto! Śmierć ni mniej ni więcej, tylko odważyła się p. nauczycielowi powiedzieć: *koeniglich preussischer Henker du, der du die Kinder toetest!*... a białe aniołki i *die berlinerblauen Kinder* śpiewały na całe gardło: *Fort fort mit dir, du Schande der grossen deutschen Nation*. I kto wie czyby p. Wilhelm Gruene nie zachorował z oburzenia gdyby nie uznanie rodaków. Niemcy mieszkańcy Poznania mianowali go honorowym obywatelem...

»Deutsch und Deutschland über alles«...

Straszne te barwy zbyt dobrze znane są wszystkim, aby przypuszczać przesadę. Tetmajer nie lubi szarży i nigdy jej nie używa. Jego ludzie, to ludzie z krwi i kości, ze wszystkiemi przywarami i zaletami człowieka. Nie jego jednak wina, że mieszkańcy np. *Wielkiego domu* zalet już nie posiadają żadnych. Kiedyś gdy życie nasze wymagało czynów bohaterskich i wielkich ofiar z wielu przeróżnych względów (często osobistych), na czoło narodu wysuwały się postacie magnatów — świecąc przykładem cnoty obywatelskiej i miłością kraju... Ile było w tych czynach pierwiastków szlachetnych, a ile tej szeroko po wszystkie czasy znanej a przeklinanej prywaty — wiadomo każdemu. Dzisiaj gdy życie nasze nie płynie jak rzeka, lecz podobne jest do cuchnącej kałuży, arystokracja nie mogąc błyszczeć — kłamliwem światłem, zdemoralizowana dobrobytem — rozkłada się jak trup zatruwając społeczeństwo zabójczą wonią, a dobre imię narodu zniesławiając swemi czynami. Trzeba przyznać, że Tetmajer kreśląc sylwetki arystokracji galicyjskiej nie żałował jadu. Jego hrabia Tatarowski jest tak głupi jak nikczemny, a tak nikczemny jak głupi. Oto dwa zasadnicze pierwiastki duszy współczesnego arystokraty, żyjącego próchnem starych pergaminów, częściej w komnatach królewskich nałożnic zdobywanych niż na chocimskich lub cecorskich polach. Bez kompromisów, bez wyrozumiałości, bez cienia litości nawet, Tetmajer wbija sztylety swych słów w ropiące serca austryjackich służalców, istotnych wrogów ludu — istotnych gnijców narodu. Ta niesłychana szczerość przebijająca z każdego słowa noweli Tetmajera dowodzi niezbicie, że autor »Melancholji« wciąż żyje wielkiem, szerokiem życiem nie tylko myślą patrząc, ale i sercem, którego łzy jak djamenty rozproszone po całym utworze błyszczą najszlachetniejszem uczuciem, bo tęsknotą do tego co mogło być — a pogardą do tego co jest!..

Wielka szkoda, że cały tom nie jest jednolity. To jedno osłabia wrażenie całości. Mimo wszystko jednak pierwszy tom »Nowości literackich« ma zgoła nie przeciętną wartość.

St. Kiedrzyński.

CEZARY JELLENTA—LINJE HOFERA.

W »Linjach Hofera« przybyła pismiennictwu polskiemu nowa książka, propagująca rewolucję w sferze twórczości. Zasłużony redaktor »Ateneum« występuje z pracą w tym niewdzięcznym kierunku »tworzenia z ducha«, który — jak każdy nowy — spotyka się z nieufnością, a czasem i z zawiścią, ponadto zaś siłą rzeczy nie może ustrzedz się od wielu błędów, będących wynikiem tych zmagań z czczością i nudą form. Toteż i »Linje Hofera« posiadają wiele ujemnych stron; lecz choćby Jellenta miał być za tę swoją pracę potępionym, choćby miał uledz w walce z przemożną siłą, rozporządzającą niezliczonym zasobem wyprobowanych środków i sztuczek, to jednak w historji literatury rewolucyjnej zajmie stanowisko poczesne, jako jeden z pierwszych szermierzy o Wolność w twórczości.

»Linjami Hofera« bohater powieści, artysta, nazywa w skróceniu linhęje Fraunhofera, owe epokowe odkrycie w widmowej analizie światła. Te właśnie linje Fraunhofera, to cudowne prawo rzucania na ciennik widm własnych, odrębnych, przez pierwiastki lub ciała niebieskie, pociągnęły myśl Cezarego Jellenty w kierunku, stwierdzającym, że uczucia — podobnie jak pierwiastki— rzucać muszą swoje widma. Oczywiście swoiste, i oczywiście ciennikiem dla nich będzie nie kawał płótna, lecz— świat zewnętrzny.

I istotnie, zaprzeczyć niepodobna, że w całym świecie zewnętrznym widzimy »linje Fraunhofera« uczuć, czyli linje, kładzione barwami odpowiadającemi naszym uczuciom. Świat zewnętrzny, tudzież zachodzące w nim fakty, widzimy zawsze w tem świetle, w jakim je stawia władnące nami w danej chwili uczucie. W miarę wahań uczuć, linje przesuwają się, rozszerzając pole barw jasnych, to znów zachmurzając ciennik — świat — barwami ciemnemi. Stąd też i światopogląd nasz nie jest stałym, ale stałość jego zależną jest od stałości naszych uczuć; między wahaniami poglądu na świat a wahaniami uczuć zachodzi stosunek prosty. Silnie rozwinięta wola potrafi panować nad uczuciami, a tem samem powoduje spostrzeganie świata oraz faktów, wydarzających się w nim, w zabarwieniu bardziej zrównoważonem.

Teorja Fraunhofera, stosowana do zjawisk materjalnych, przedstawia cenną zdobycz dla nauki; teorja promieniowania uczuć musi być rozpatrywaną poważnie przez filozofów. Pięknem swem pociąga każdy umysł filozoficzny.

Stanowiąc znakomity temat do studjum, ta piękna i prawdziwa teorja może być zarazem wyśmienicie użytą jako tło dla głębszej powieści psychologicznej. Pomijając, że posiada pełną uroku cechę ścisłej oryginalności, ważnem jest, że zawiera klucz do otwarcia drzwi duszy—Duszy tej jedynej szlachetnej skarbnicy, z której powinno się czerpać natchnienie. Wygodniej — bezsprzecznie — jest czerpać natchnienie z Szekspira lub z innych wzorów, utartym iść szlakiem i dawać nową oprawę do tematów cuchnących pleśnią i szablonem; ale gdy się ma odwagę i wejrzy w głąb duszy własnej, to i tam odkryje się coś, z czego wysnuć można opowieść przepiękną a niepodobną do niczego, co już było, Ale trzeba mieć odwagę tam wejrzec i tam szukać: to boli, strasznie boli. A to wydzieranie tajemnego skarbu i rzucanie na pokaz profanom!.. Lecz wtedy właśnie się jest — artystą.

Cezary Jellenta miał odwagę tam wejrzeć. Miał odwagę iść przebojem, choć widział, jak giną w mroku niepamięci dzieła, oksydowane w tym ogniu ducha, jak przeszedł bez echa, *bez jednej wzmianki dziennikarskiej*— »Psychjan« Wadimasa, jak pokrywają się pyłem na półkach księgarskich wieszcze twory mocarza ducha — Micińskiego.

Toteż szczery żal się czuje, że te śmiałe czyny są dopiero zaczątkiem Wielkiej Rewolucji i nie zawierają w sobie jeszcze tej śpiżowej mocy, którąby władnąć powinny. Żal czujemy, że śmiałek Jellenta, pełen dobrych chęci i bohaterstwa, wskazuje nam drogę, ale nie kładzie jeszcze tego kamienia węgielnego, na którym oprzećby już można budowę gmachu Wolności w dziedzinie twórczości literackiej.

Główną wadą »Linji Hofera« jest zacieśnienie ich zakresu do krainy snów. Cała moc »linji« wykazaną jest w obrazach sennych, nadomiar pozbawionych akcji i zajmującej bajki. Język poprawny, miejscami wprost bogaty po magnacku, nuży nadmiarem piękna. Minęły czasy Sienkiewicza, gdy słowa stanowiły o sławie. My żądamy jak najwięcej prostoty i jasności. Piękno płynąć powinno przedewszystkiem z treści; ozdobione zbyt grubemi, choć najczystszej wody, sznurami pereł, przesłania się niemi — i samo na tem traci.

Nadzwyczaj ciekawem jest, jak silnie Jellenta odczuwa falowanie swych uczuć.

»... Widma te są często niezwykłe i ogromne. Są to całe pasma tępych, bezkształtnych mas, które, gdybym mógł z całą dokładnością wczytać się w sen własny, w chwili, gdy ten już przeminął — okazałyby się może górami. Jako obraz, pejzaż zacierają się one, i nie mogę po przebudzeniu się powiedzieć, że widziałem góry, ale to pewna, że odegrały jakąś ważną w scenarjum rolę.

„Czuję je i pamiętam w postaci nieco zmienionej, jako wały olbrzymie, złośliwe i natrętne, ścielące się wpoprzek mej drogi, uniemożliwiające mi chód. Czasem wyrastają nagle z pod ziemi, a nawet jakby z bolącej

głowy się wyłaniają, z piersi mej własnej, jako część mego łona, jako myśl, wyrzut, pamięć wycieleśniona i stężała w ruchome wzgórza, — to znowu pęcznieją potwórnie i stają przedemną nieprzebytym murem.

»Męczy mię to — nie to, że się zemną drażnią, i że wysiłek mój daremny; przywykłem we snach swych zmagać się, szamotać i krwawić stopy. Nie to mię drażni — lecz to, że nie widzę krajobrazu, owego pasma ruchomych szczytów«.

Może nieco razi to zbyt zmysłowe wyczuwanie owych widm, ale niewątpliwie usprawiedliwić się da gorącą, wprost szaloną wyobraźnią autora.

Książkę kończy apostrofa:

»Błądź. mój koniu, i omijaj trupy — idziemy w świat.

»Poczciwy rumak mój rży wesoło i ani razu się nie potknie wśród tylu pni i gałęzi... Zdaje mi się, żeśmy oboje wyolbrzymieli, i że głową sięgam wierzchołków ocalałych sosen...«

Niech to poczucie wyolbrzymienia przez podjęcie walki na niewdzięcznem polu będzie dla autora zapłatą za jego trudy i pożyteczną pracę, która jednak — jak wszystko co krwawe — przezornie przez publiczność omijaną będzie.

Stefan Sierzputowski.

Z TEATRU.

»Skiz« komedja Gabrjeli Zapolskiej.

I znów na tle beztreści życiowej, braku zrozumienia życia i tego, czem powinno być życie człowieka w stosunku do zrozumienia jego istoty — á la Louis XV rokokowa historja na tle flirtu.

Nie rodzi to jednak w duszach tych ludzi dramatu, jakiegoś głębszego konfliktu etycznego. To nie są ludzie — na miarę... ludzi. To kukły, puder, zewnętrzność, maniera, to tylko pour passez le temps urozmaicanie nudy.

Zewnętrzni ludzie — zewnętrzne życie.

Do Witusia i Muszki pałacujących i gospodarujących gdzieś na Podolu, z zagranicy przyjechali Tolo i Lulu. Przyjazd tej pary jest poniekąd — jakgdyby promieniem innego życia w szarości i powszedniości ich wegietacji. Witusiowie bowiem—szczególniej Muszka, znudzili się sobie. Wituś, prymitywny, naiwny, gospodarujący, a Muszka tęskniąca do... miłości. Tolo i Lulu — to zupełnie innego typu ludzie. Wnoszą z sobą atmosferę pudrowanych kłamstwem duszyczek siebie i ludzi obełgujących.

Umiejętność obełgiwania, umiejętność brania życia powierzchownie — oto status quo ich egzystencji. W imię tego to imperatywu — Lulu zachęca do flirtu męża swego, kusi Muszkę. Życie nie zatrzymuje się jednak na pół drogi. Flirt doprowadził do... oddania się, do uczucia. I wtedy Lulu w niczem nie widząca tragedji — robi mężowi scenę zazdrości. Tolo staje się nawet impertynenckim, bo »jej unizona miłość« Lulu — wyszła z swego stylu. Kochał Lulu — bo zachęcała go sama do... grzechu. Finał oczekiwany: p. Tolowie wyjeżdżają od Witusiów. Muszka pozostaje przy Witusiu; pozostaje i sądzi, że... zły wicher przeszedł przez ich pałac. Zrozumiała, że jej miłość dla Tola, to tylko zły wicher.

Mniej więcej tak się przedstawia fabuła tej komedji. W robocie znać niesłychaną wirtuozję. Trzy akty — są artystycznem żonglowaniem czterema osobami. Wydaje się, że komedja ta została napisaną na to, by dowieść wirtuozowstwa w operowaniu sceną. I na ten raz »Skiz« Zapolską nie zawiódł. Wygrała partję »taroka«.

Ton w jakim grano »Skiza« w zupełności odpowiadał psychice, o odtworzenie której chodziło Zapolskiej. Z aktorów bardzo dodatnio wyrozumiał się p. Jan Janusz. (Wituś).

Eustachy Czekalski.

KRONIKA.

Na mocy Najwyższego ukazą z dn. 11-go października r. b., gubernje: suwalska, łomżyńska, płocka, siedlecka i lubelska, oraz gub. kaliska z wyjątkiem powiatów sieradzkiego i łęczyckiego, i gub. kielecka, oprócz powiatu olkuskiego, ogłoszone, zamiast w stanie wojennym, w stanie ochrony wzmocnionej na rok jeden,—a gubernje radomska i warszawska w stanie ochrony nadzwyczajnej na termin sześciu miesięcy, z przyznaniem prawa głównego naczelnika co do tych dwóch gubernji generał-gubernatorowi warszawskiemu. Tym sposobem w stanie wojennym pozostały: gub. piotrkowska (z Łodzią), a nadto powiaty sieradzki i łęczycki w gub. kaliskiej, oraz powiat olkuski w gub. kieleckiej.

Art. 26 przepisów o ochronie nadzwyczajnej nadaje generał-gubernatorowi następujące prawa:

1) wyznaczać w rozmaitych miejscowościach kraju zarządców, nadając im jednocześnie i główną komendę nad wojskami z danej miejscowości. 2) ustanawiać komendy policyjno-wojskowe. 3) wyłączać z kompetencji sądów ogólnych niektóre kategorje spraw, poddając je bądź sądom wojennym, bądź też organom administracyjnym. 4) zarządzać areszt ruchomości lub sekwestr nieruchomości na czas trwania ochrony nadzwyczajnej; 5) skazywać w drodze administracyjnej na zamknięcie w twierdzy, więzieniu lub areszcie policyjnym na czas do trzech miesięcy lub też na karę pieniężną do rb. trzech miesięcy; 6) usuwać od pełnienia obowiązków urzędników wszystkich dekasterji, o ile zajmują oni stanowiska niższe od trzeciej klasy. 7) zezwalać lub zabraniać odbywania posiedzeń zwyczajnych lub nadzwyczajnych wszelkich instytucji miejskich lub społecznych; 8) zawieszać wydawnictwa na czas trwania ochrony nadzwyczajnej. Niezależnie od powyższych praw, generał-gubernator posiada nadto pełnomocnitwa, przewidziane w przepisach o ochronie wzmocnionej, t. j. w art. 14—22, a więc: 9) wydawać postanowienia obowiązujące z sankcją, wskazaną w punkcie 5; 10) zamykać wszelkie handlowe lub przemysłowe przedsiębiorstwa; 11) żądać, aby rozpoznawanie danej sprawy w sądzie ogólnym odbywało się przy drzwiach zamkniętych; 12) zatwierdzać wyroki sądów wojennych. Przy ochronie nadzwyczajnej art. 21 zezwala miejscowym naczelnikom policji aresztować na czas do dwóch tygodni osoby wzbudzające zasadne podejrzenia co do przynależności ich do towarzystw nielegalnych. Różnica pomiędzy stanem wojennym, a stanem ochrony nadzwyczajnej, sprowadza się do dwóch wypadków: w czasie stanu wojennego generał-gubornator korzysta z prawa zamknięcia zakładów naukowych na cały czas trwania powyższego stanu; przepisy zaś o ochronie nadzwyczajnej nadają generał-gubernatorowi prawo zamykania takich zakładów nie dłużej, jak na jeden miesiąc; o zamknięciu na czas dłuższy decyduje rada ministrów. Co do drugiej różnicy oprawie zesłania do określonej miejscowości z oddaniem tamże pod nadzór policyjny to przy ochronie nadzwyczajnej prawo to przechodzi od generał-gubernatora do ministra spraw wewnętrznych, którego decyzja najczęściej opiera się na przedstawieniu głównego naczelnika kraju.

— „Echa Kieleckie" wydały jednodniówkę dla upamiętnienia 40 letniego jubileuszu M. Świętochowskiego. Znajdujemy tu utwory p. p. M. Święcickiego, J. Kurnatowskiego, chłopa A. Nowickiego, Emilji T—B. i in.

Staraniem redakcji „Sfinksa" ukazał się portret kolo-

rowany A. Świętochowskiego, wykonany przez art. Mordasiewicza.

— W Moskwie chociaż studenci uniwersytetu wogóle strejkowali niektórzy profesorowie miewali wykłady, na których bywało po kilkunastu słuchaczów. Prób zakłócenia porządku nie było. Studencka rada koalicyjna rozlepiła po korytarzach ogłoszenia; w których wzywa studentów, aby nie używali gwałtu w jakiejkolwiek formie względem kolegów, pragnących uczęszczać na wykłady, zalecając tylko zapisywanie nazwisk owych studentów, z zaznaczeniem jakie skończyli gimnazja. Względem podobnych studentów ma być zastosowany bojkot, co znaczy, że kółka i stowarzyszenia studenckie wykreślą ich z list swych uczestników i że nazwiskc ich będą zapisane na czarnej tabilcy. Najobojętniej względem strejku zachowują się filolodzy: w wielu audytorjach wydziału filologicznego były wykłady. Na wydziale prawniczym nie było ani jednego wykładu. Na wydziale matematycznym miał wykład prof. Lochtin. Słuchało go trzech studentów. Profesor oświadczył, że wykład będzie, choćby miał tylko jednego słuchacza. Na przyrodzie miał wykład prof. Sokołow i słuchało go 20 studentów.

D. 18 b. m. rektor uniwersytetumoskiewskiego ogłosił: Wobec dokonanej wczoraj obstrukcji, której towarzyszyły ordynarne, ubliżające profesorom postępki ze strony studentów, komisja rady uchwaliła prosić rektora o zwołanie posiedzenia nadzwyczajnego rady na wtorek (13 października), zawiesiwszy do decyzji rady zajęcia szkolne w uniwersytecie.

— Pisma galicyjskie podają szczegóły o wykrytej świeżo przez policję drukarni Polskiej partji socjalistycznej w Warszawie.

... Dwa i pół roku temu wynajęto przy ulicy Foksal (№ 18), a więc w centralnym punkcie Warszawy, tuż koło Nowego-Świata, elegancki lokal na umieszczenie fikcyjnego interesu handlowego pod firmą „Tomaszewski". Lokal składał się z olbrzymiego pokoju od frontu i piwnicy, do której schodziło się po krętych, żelaznych schodkach. Pokój frontowy posiadał kompletne urządzenie, doskonale symulujące fikcyjny charakter biura interesu. W piwnicy mieściły się t. zw. „nożyce" — przyrząd do cięcia papieru, puszczany w ruch motorem elektrycznym, ulokowanym tuż w piwnicy. Firma „Tomaszewski" bowiem rzekomo miała zajmować się cięciem papieru, który dostarczano w blokach wprost z fabryki. Papieru zaś tego używano sporo, albowiem piwnica była urządzona w ten sposób, że pustemi skrzyniami przedzielono ją na dwie części. W jednej mieścił się motor elektryczny wraz z „nożycami" i papierem, w drugiej zecernia, stereotypja i pośpieszna maszyna drukarska, bijąca 1400 arkuszy na godzinę i również poruszana siłą elektryczności. Skrzynie, przedzielające „legalną" część interesu od „nielegalnej" były ułożone tak misternie, że sprawiały wrażenie ściany. I na odgłos dzwonka alarmowego pracujący przy maszynie drukarskiej w ciągu 4-ch sekund mogli wstrzymać jej ruch i przenieść się do legalnej części interesu. Koszta urządzenia interesu wynosiły około 10,000 rubli. Utrzymanie miesięcznie pochłaniało 750 rubli.

Ma się rozumieć, że lokal na przedsiębiorstwo przemysłowe, będące w ruchu, musiał być dokładnie obejrzany przez odpowiednie władze. Przy założeniu interesu był obecny komisarz policyjny, który spisał akt odpowiedni. Wykupiono patent za 200 rb., który przyozdobił ścianę biura. Rewirowy przychodził od czasu do czasu, jak do „normalnego" zakładu przemysłowego. Kontroler z centrali elektrycznej regularnie odwiedzał pracujących w piwnicy. Słowem, drukarnia szła w najlepsze i tylko lokatorowie eleganckiej kamienicy skarżyli się na nieznośny hałas, powodowany motorem i na swąd nieprzyjemny, wychodzący z piwnicy podczas przyrządzania klisz i matryc.

Nie próżnowała ta drukarnia — to trzeba przyznać Wyszły z niej 33 numery *Robotnika* (200 do 232), kilkanaście numerów pism lokalnych, 2 numery *Przedświtu*, szereg broszur, setki odezw w olbrzymiej liczbie egzemplarzy i t. d. Trzeba dodać, że oprócz maszyny pośpiesznej znajdowała się w piwnicy mała maszynka ręczna, t. zw. „babcia", na której bito mniejsze odezwy, plakaty, listy składkowe i t. d. Była to maszynka najstarszego, używana przez P. P. S typu.

Ma się rozumieć, że lokal drukarni znany był tylko bardzo nielicznej garstce „władz partyjnych"

POLSKI UNIWERSYTET LUDOWY W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

Potrzebę wiedzy coraz to silniej odczuwała kolonia polska w Ameryce.

Od lat kilkunastu już organizowano po za szkołą, z której nie mogą korzystać dorośli, różne instytucje oświatowe. Takim był uniwersytet wędrowny, przy Związku Nar. P., zorganizowany został Wydział Oświaty. W innych miastach powstały kółka samokształcenia, w Pensylvanii buduje się wyższa szkoła polska. W Chicago w ubiegłych łatach były urządzane sseregi odczytów i wykładów luźnych.

Dążąc dalej w tym kierunku, grono obywateli w Chicago przyszło do przekonania o konieczności założenia stałej instytucji, którаby odpowiadała potrzebie samokształcenia się po za szkołą na wzór Uniwersytetów ludowych już dawno pracujących w starym kraju i po całym świecie. 20 września myśl stała się czynem—kółko inicjatorów wezwało obywateli uprzednio znanych ze swych prac na polu Oświaty w Chicago na organizacyjne zebranie. To ostatnie przyjęło ustawę wzorowaną na ustawach takich instytucji w kraju, oraz obrało komitety dla dalszej pracy.

Na sekretarza instytucji i oficjalnego jej reprezentanta został powołany większością głosów Dr. Juljusz Szymański. Do komitetu naukowego weszli następujący obywatele: prof. T. Siemiradzki, K. Kochanowicz, Dr. K. Żurawski, Dr. J. Czaki, inżyn. K. Szymański, J. Orzechowski i Dr. Jul. Szymański. Do komitetu gospodarczego: panna K. Walukiewiczówna, obecna redaktorka żeńskiej „Zgody", ob. ob. Kalinowski, Brod, Hinkelman i Dr. Boguszewski. Do rady nadzorczej ob. ob. Cienciara, Pontkowski i Złotnicki. W celu puszczenia w ruch instytucji wyznaczono 4 dzień października na inauguracyjną prelekcję na którą złożyło się 3 mówców, każdy z nich miał do rozporządzenia 20 minut czasu w następującym porządku: Dr. Czaki—o uniwersytet ch ludowych: Dr. Szymański o klasyfikacji wiedzy: prof. Siemiradzki o historji wiedzy: inż. K. Szymański—technika, a postęp; Dr. Żurawski—potęga wiedzy.

Na przyszłość wykłady mają być dwóch typów: luźne i systematyczne.

Luźne w celach rozbudzenia żądzy wiedzy oraz ułatwienia orjentowania się ludziom pragnącym dopełnić swe wiadomości. Te odczyty odbywać się będą przeważnie w niedzielę.

Systematyczne, czyli serjalne wykłady dla zaznajomienia słuchaczy z prkedmiotami czystej nauki. Będą one prowadzone po parę rozy na tydzień w godzinach wieczornych.

Wykłady mają być ustne, a porządek wykładów jest taki, że słuchacze mogą zadawać pytania, podawane na kartkach, raz dlatego, by pytającemu oszczędzić tak zw. tremy, a powtóre dlatego, aby zebraną publiczność nie męczyć wynurzeniami przypuszczeń i zwątpień rzeczy należycie nie obmyślonych. Na odpowiedzialności Kom. Nauk, leżeć będzie obowiązek przepatrywania treści każdego wykładu przed jego wygłoszeniem.

Dotychczas zgłoszono się do następujących systematycznych wykładów:

Teorja prawa, Historja powszechna, Fizjologja, Mechanika, Chemia, Anatomja (budowa ciała) Luźne: Wszechświat i jego rozwój, Sztuka i muzyka, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, O Koperniku, O pochodzeniu człowieka. Wejście na odczyt 5 centów. Serja z 6 odczytow—25 c. Na członków Uniwersytetu Ludowego zarząd zaprasza każdego życzliwego idei szerzenia wiedzy i postępu i zgadzającego się na ustawę Uniwersytetu, której zasadniczy paragraf brzmi jak następuje:

„W celu podniesienia oświaty ludu pracującego, zaznajamiania go z postępami wiedzy, literaturą i sztuką, wykorzeniania przesądów, szerzenia myśli wolnej i niezależnej założony zostaje Polski Uniwersytet Ludowy w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej".

UPTON SINCLAIR.

METROPOLIS.

(Ciąg dalszy).

— Ani trochę — odparł major. — Jestem jak niemiec, który skupił swe poczucie wewnętrzne i wydedukował słonia z principjów zasadniczych. Znam się na grze interesów od A do Z i mówię panu, że tu taki powinien być grunt, jeśli wynalazek jest naprawdę dobry, a mimo to towarzystwa nie chcą go przyjąć. Mogę się założyć, ze jest tak właśnie jak mówię. Przeszłej zimy jeździłem parowcem na południe. Kiedy już widać było przystań, majtkowie wyrzucili za burtę jedną lub dwie tonny zupełnie dobrych środków spożywczych. Kiedy zacząłem ich rozpytywać — dowiedziałem się, że jeden z dyrektorów towarzystwa posiada fermę i dostarcza środków spożywczych — i dlatego ludzie mają rozkaz podczas każdego kursu zużywać jak najwięcej pożywienia.

Montague siedział z otwartemi usty.

— I cóż może przedsięwziąć major Thorne przeciw takiej kombinacji? — zapytał nareszcie.

— Nie wiem — odparł major, wzruszając ramionami. — Trzeba by się było zwrócić do adwokata, otrzaskanego i znającego się na rzeczy. Hawkins wiedziałby, co panu powiedzieć. Sądzę, że poradziłby panu podburzyć do strejku tragarzy węgla i w ten sposób wziąć za kark towarzystwa i dyktować im warunki.

— Żartuje pan — zawołał Montague.

— Wcale nie — śmiał się major. — To zdarza się codziennie. Naprzykład jest tu w New-Yorku trust budowlany, którego członkowie wyparowali wszystkich swoich konkurentów, organizując strejk przy każdej budowie.

— Jakże oni to urządzają?

— Nic łatwiejszego. Kierownik partji robotniczej — to człowiek, który posiada wiele władzy, a którego utrzymanie mało kosztuje. A jeśli kierownika pozyskać nie można — znajdzie się tysiąc innych sposobów. Mógłbym poznać pana z człowiekiem, którego ludzie zastrajkowali w niedogodnym czasię. Zastawił on pułapkę na prezydenta związku, chwycił go na gorącym uczynku z pokojówką, poczem biedak musiał ustąpić i złamać strejk.

— Sądzę, że strejkujący nie zawsze jednak dadzą się złamać?

— O tak — śmiał się major — niekiedy bywają oni bardzo przekorni. Ale i na to jest sposób. Najmuje się detektywów i podżega tłum do gwałtów, poczem może już przyjść milicja i wtrącić przywódców do więzienia.

Montague nie wiedział, co odpowiedzieć. Zrozumiał, że system walki nie wyłączał najpodlejszego środka.

— Radzę panu jak przyjaciel — ciągnął major bardzo poważnie. — Stoję na stanowisku człowieka, co ma w kieszeni pieniądze. Tego musiałem się opierać, aby mi moich pieniędzy nie wydarto. Przeżyłem całe swe życie wśród ludzi, którzy chcieli mi czynić dobrze. Chcieli zamieniać moje rzeczywiste pieniądze na kawałki papieru z esami i floresami, z orłami i chorągwiami. Choć jeśli się spojrzy na sprawę z drugiej strony, to wynalazek jest rzeczą mądrą, handel kwitnie u nas nadzwyczajnie, jest to kraj wielki, każdy otrzymuje tu to, na co zasłuży — słowem wszystko jest właśnie tak, jak być powinno. Widzi pan, kolosalna to różnica, czy się chce konia kupić czy sprzedać!

Montague przekonał się już nie po raz pierwszy, że tego właśnie rodzaju buntownicze rozprawy toczą się najczęściej w najwyższych kołach towarzyskich. Był to jeden z tych przywilejów, których udzielały sobie te wyniosłe i dumne osoby. Redaktorowie, biskupi, mężowie stanu i wszyscy inni, od nich zależni, musieli nawet w swych klubach *wierzyć* we wszystko, co prawe i godne szacunku, bo lud z dnia na dzień stawał się czujniejszym. Trzeba się było obawiać jego ucha... Ale wśród potentatów i olbrzymów świata finansowego doznawało się nieraz wrażenia, że jest to towarzystwo złożone z buntowników. Odrywano kawały skał i rzucano je sobie na głowę. Kiedy jeden z tych starych rumaków bojowych występował w szranki, to zaczynała się taka historja, że obdarzonemu twardą skórą zbijaczowi bruków włosy powstałyby na głowie. Rozumie się samo przez się, że zawsze zrobił ktoś inny to, o czem inny znów opowiadał. Ale jeśli opowiadający czuł, że znajduje się w kole zaufanych sojuszników — wtedy wyznawał, że nieraz bił wroga jego własnym orężem t. j. używał środków równie niegodnych.

Rozumie się samo przez się, że radykalizm ten służył wyłącznie do celów konwersacyjnych. Major naprzykład nigdy ani na chwilę nie pomyślał o tem, żeby robić coś przeciw złu, o którem opowiadał. Gdyby przyszło kiedykolwiek do akcji, to nie robiłby on nic innego, jak to, co robił przez całe życie: siedziałby bardzo spokojnie na swojej własnej kupie pieniędzy. A klub miljonerów był miejscem bardzo odpowiedniem, żeby się tego nauczyć!

— Widzi pan tę starą torbę z pieniędzmi tam w kącie? — spytał major. — Jest to człowiek, na którego powinien pan zwrócić uwagę — stary Henry St. Grimes. Słyszał pan o nim?

— Coś mi się przypomina — rzekł Montague.

— Jest to wuj Laury Hegan. Kiedyś młoda panna odziedziczy jego pieniądze — ale teraz trzyma on je mocno w garści. Boi się on własnego cienia. Ma domy dochodowe w najbardziej osławionych dzielnicach miasta. Sądzę, że w ciągu miesiąca więcej wyrzuca on ludzi na bruk, niżby się zmieścić mogło w tym domu.

Montague przypatrywał się tej dziwnej postaci, siedzącej w rogu stołu. Był to człowiek z pomarszczoną twarzą, podobną do pyszczka łasicy, z wielką serwetą pod szyją.

— Zawiązuje serwetę — zawołał major — aby oszczędzić gors koszuli na jutro. Ma dopiero sześćdziesiąt lat: ale możnaby go wziąć za ośmdziesięcioletniego starca. Przychodzi tu trzy razy dziennie i zjada talerz mleka z chlebem Grahama. Potem siedzi całą godzinę wyprostowany w fotelu. To djeta, którą przepisali mu lekarze — od czego niech nas chronią zastępy aniołów i archaniołów.

Ogniście-czerwone baki starego pana drżały od tłumionego śmiechu.

— Pomyśl pan! — wołał. Chcieli oni i ze mną wyrabiać coś podobnego. Ale nie moi panowie! Jeżeli

Bob Venable tak daleko zaszedł, że musi żyć chlebem Grahama i mlekiem, to już lepiej zażyć dawkę arszeniku! Tak bywa z wielu temi bogatemi ichmościami. Niejeden mniema, że pędzą oni życie zbytkowne jak kartagińczycy w Kapui. Tymczasem w rzeczywistości mają oni stwardniałą wątrobę lub słaby żołądek i kładą się do łóżka o dziesiątej z gorącemi flaszkami i w wełnianych myckach.

Wstali i skierowali się do palarni, kiedy otwarły się boczne drzwi i weszło kilku mężczyzn. Pierwszy z nich rzucał się w oczy. Była to potężna postać z surową ponurą twarzą i skrzącemi się czerwono ślepiami. Nie były to oczy ludzkie, lecz ślepie dzikiego odyńca. Głos jego brzmiał jak szczekanie i chrząkanie.

— Hola! — zawołał major. — Jak widzę, dziś tu sama gruba zwierzyna! Zapewne będzie posiedzenie.

— Któż to jest ów człowiek? — spytał Montague, a major odparł:

— On? Ależ to Dan Waterman.

Dan Waterman! Montague patrzył nań ciekawie. Poznawał twarz tak często widywaną w pismach i na rycinach. Waterman, kolos finansowy, Krezus złota i miedzi! Ileż zorganizował on trustów! Jak często imię jego było przedmiotem dowcipnej gry słów!

— A inni panowie? — zapytał Allan.

— To miljonerzy drobniejszego kalibru — brzmiała odpowiedź.

„Miljonerzy drobniejszego kalibru“ tworzyli rodzaj warty naokół kolosu. Jeden z nich, gruby mały człeczyna, biegł niemal kłusem, żeby dorównać w kroku Watermanowi. W garderobie usunęli na bok służących. Jeden pomógł wielkiemu człowiekowi włożyć płaszcz, drugi trzymał na pogotowiu jego kapelusz, inny znów laskę, a dwóch usiłowało z nim rozmawiać. Waterman zapiął płaszcz, schwycił za kapelusz, laskę, i nie mówiąc ani słowa, wypadł za drzwi.

Była to jedna z najpocieszniejszych scen, widzianych przez Montague'a. Śmiał się do rozpuku jeszcze w palarni. Major Venable rozsiadł się w wielkim fotelu, odgryzł koniec cygara... A wtedy otworzyły się upusty jego wspomnień!

Dan Waterman należał do tej samej generacji, co major Venable, i stary pan znał całe jego życie w najdrobniejszych szczegółach. Był on zawsze takim, jakim go widział Montague przed chwilą: prędki, rozkazujący i straszny. Łamał i tratował wszelki opór. Potentaci świata finansowego drżeli przed skrami, sypiącemi się z tych małych czerwonych oczu. W dawnych czasach cała Wall-Street drżała w posadach od walki między nim i jego najpotężniejszym współzawodnikiem. Ten współzawodnik ożenił się z metresą Watermana i Dan przysiągł, że go zgubi. Ale kiedy go już miał w swej mocy, przyszła owa kobieta i na klęczkach błagała go o łaskę. I Dan dał jej czek na pół miljona dolarów. Ponuro i okropnie brzmiała historja tego pięknego stworzenia — podczas polowania par force spadła ona i skręciła kark. Przez cały rok najznakomitsi lekarze usiłowali ocalić jej życie. Leżała na grzbiecie, a pokojówki zapalały papierosy i wtykały jej w usta. Kiedy przychodziły z Paryża jej suknie, rozpościerano je przed nią, podnosząc w górę, a potem je rozdarowywała.

Zapalał się major, opowiadając o życiu tej dziwnej osobistości. Był on królem kolei miejskich w New-Yorku i księciem wszystkich politykujących finansistów. Był kierownikiem demokratycznej partji. Na jedną kampanję wyborczą tracił miljon dolarów. W dniu, kiedy agitatorzy okręgów przychodzili po pieniądze, stół długości czterdziestu stóp bywał całkowicie pokryty studolarówkami. Byłby najbogatszym człowiekiem w całej Ameryce, gdyby nie wydawał pieniędzy równie szybko, jak je zdobywał. Miał najsławniejszą w Ameryce stajnię wyścigową i dom na Piątem Avenue, o którym utrzymywano, że jest najwspanialszym na świecie pałacem włoskim. Zdobienie kosztowało więcej niż trzy miljony. Wszystkie plafony przeniesiono tu nietknięte z pałaców, które Dan nabył i zwalił. Major opowiedział historję, świadczącą, że Waterman zatracił wszelkie poczucie wartości pieniędzy. Kiedy pewnego razu jadł z nim śniadanie, wszedł redaktor jakiejś gazety i rzekł: „Mówiłem panu, że potrzebujemy ośm tysięcy dolarów, a pan przysłałeś czek na dziesięć tysięcy“. „Wiem — brzmiała ze śmiechem dana odpowiedź — ale mnie się zdało, że dziesięć jakoś lepiej się pisze, niż ośm“.

— O, stary Waterman umie wydawać pieniądze— ciągnął major. — Mówił mi, że potrzebuje na codzienny wydatek pięć tysięcy dolarów, nie licząc kosztów utrzymania w porządku jachtu, który kosztował kilka miljonów dolarów. Cóż pan powie o granitowem wybrzeżu, kosztem jednego miljona, które wzniósł, aby odwiedzać statkiem swą metresę? Była to znana newyorska dama. Była biedna, a on nie zawahał się uczynić jej bogatą, bo to wznieciło skandal. Mieszkała w dość skromnej willi za pięćdziesiąt tysięcy dolarów. A kiedy inne dzieci wyśmiewały się z jej dzieci, że mieszkają w willi tylko za pięćdziesiąt tysięcy dolarów, te odpowiadały: „Ale wy nie macie granitowego pobrzeża“... Jeżeli mi pan nie wierzy...

Nagle major się obrócił i spostrzegł chłopaka, który mu był przyniósł cygara, a teraz stał zupełnie blizko i słuchał, udając, że wygładza numery gazet, leżących na stole.

— Ty tu! — krzyknął major. — Co ci to przyszło do głowy, żeby słuchać, kiedy ja mówię? Precz mi stąd zaraz, hultaju!

(D. c. n.)

Redaktor i wydawca *Władysław Gacki.* Druk E. Skowrońskiego Nowy-Świat 43.